

ANTONI KROH
Starorzecza



Opracowanie graficzne: Andrzej Barecki
Korekta: Dobrosława Paikowska

Copyright © by Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2010
Copyright © by Antoni Kroh, Warszawa 2010

Autorzy zdjęć i ilustracji

Stanisław Gliwa (rys.) s. 115

Ryszard Halba s. 301, Maria Teresa Maszczak s. 144 (dwa zdjęcia),
Jarosław Mierzwa s. 11, 30, 93, 95, 143 (dół), 347, 352, 450, 493 (lewe), 564, 568,

Zofia Nasierowska s. 417, Krzysztof Oltak s. 86, 87, 90,

Antoni Zalewski s. 241, 571, 572, 573, 574 (górze i dół), 575.

Pozostałe zdjęcia pochodzą z archiwum autora.

Wydawnictwo dołożyło wszelkich starań, by skontaktować się z twórcami zamieszczonych w książce zdjęć. W kilku przypadkach okazało się to niemożliwe, dlatego twórców, z którymi nie zostały podpisane umowy, prosimy o pilny kontakt z sekretariatem wydawnictwa.

ISBN 978-83-244-0127-7

Wydawnictwo ISKRY
ul. Smolna 11, 00-375 Warszawa
tel. /faks (22) 827-94-15
iskry@iskry.com.pl
www.iskry.com.pl

Fraszki to wszystko, cokolwiek myślimy,
Fraszki to wszystko, cokolwiek czynimy;
Nie masz na świecie żadnej pewnej rzeczy,
Próżno tu człowiek ma co mieć na pieczy.
Zacność, uroda, moc, pieniądze, sława,
Wszystko to minie jako polna trawa;
Naśmiawszy się nam i naszym porządkom,
Wemkną nas w mieszek, jako czynią łątkom*.

(J. Kochanowski, *O żywocie ludzkim*)

* Na wszelki wypadek objaśniam, co poeta miał na myśli: Kochanowski przyrównał ludzki żywot do teatrzyku kukielkowego. Gdy publiczność obserwująca nasze wysiłki uśmieje się już do syta, zostaniemy wetknięci w worek jak laleczki po skończonym widowisku. Czytelników, którzy nie potrzebują ww. objaśnienia, najmocniej przepraszam za fatygę.

Krok defiladowy na gruntach podmokłych

PANIE TRUMAN, SPUŚĆ TA BANIA ♦ *SON ET LUMIÈRE*
W GRUZACH ♦ PANI DYREKTORKA ♦ PRZEDWOJENNI
♦ TKNĘŁO CIĘ? ♦ MEBLE PAŃSTWA ANDERSÓW ♦ PIOSENKI
DZIECIŃSTWA ♦ MIŁOŚĆ DO PONIEMIECKIEJ KURTKI
♦ CZOLEM, LISIE, TWOJE ZDROWIE! ♦ IMIENINY POWĄZEK
♦ O RANY, ALE JAJA! ♦ KOSTKI KULTU JEDNOSTKI
♦ ZARASTANIE KICZEM ♦ ROZWÓD, ŚLUB I KWARANTANNA
W CHLEWIKU ♦ W ZŁĄ GODZINĘ

Będzie wojna. Skoro była druga, wybuchnie i trzecia. O trzeciej wojnie światowej krążyły ciepłe wierszyki, dowcipy. „Jedna bomba atomowa i wrócimy znów do Lwowa. Potem druga bomba silna i wrócimy znów do Wilna. Panie Truman, spuść ta bania, bo już nie do wytrzymania”. Rozmowa gościa z kelnerem: – Proszę schabowy i piwo. – Będzie dopiero po trzeciej. – Przecież jest dwadzieścia po trzeciej. – Tak, ale po trzeciej wojnie światowej. – Dorośli wybuchali dziwnym śmiechem.

Niedawno ujawniono, że trzecią wojnę światową szykowano całkiem serio. Polska centralna miała być celem zmasowanego nalotu atomowego, Wisła linią obrony, dlatego jej nie regulowano i nie przetrzucano nad nią mostów. Pozostała ostatnią wielką dziką rzeką Europy, z wyjątkowymi rozlewiskami, przykosami, starorzeczami i wysepkami, które wylaniają się i znikają. Z podobnych przyczyn strategiczno-politycznych zachowały się również starorzeczka Buga oraz rzeki Morawy, oddzielającej Czechosłowację od Austrii.

Będzie wojna. Ktoś przynosił do domu wiadomość z najpewniejszego źródła, że tym razem już chyba na pewno. Dorośli niespecjalnie się przejmowali, byli otrzaskani – ale na wszelki wypadek

uruchamiali stosowną procedurę. Należało zrobić zapasy. Kupowano twarde pszenne suchary z charakterystycznymi dziurkami, świece, zapalki, cukier, sól, mąkę, kaszę, mydło, środki opatrunkowe, naftę (wyciągano z piwnicy lampy naftowe i czyszczone), denaturat i co tam jeszcze. Dla babci i dla mnie zapas leków przeciwastmatycznych. Po tygodniu, dziesięciu dniach emocje mijały.

Oczywiście trwająca wówczas w najlepsze walka o pokój nie miała z tym absolutnie nic wspólnego. Trzecia wojna światowa była prawdopodobna, brana pod uwagę, walka o pokój całkowicie pusta, jeśli nie liczyć dowcipów. Opowiadano, jak na wieś przyjechał agitator i grzmiał: Towarzysze! My zrobimy taką walkę o pokój, że kamień na kamieniu nie zostanie! Pewną wiejską knajpę, czyli gospodę ludową, przyozdobiono fryzem z gołąbków pokoju. Miejscowi mówili, że to białe myszki, którym wyrosły skrzydełka. A trzydzieści lat później usłyszałem: Co to jest wrona? Gołąbek pokoju AD 1981! Młody człowiek, który mi to opowiedział, zadumał się na chwilę i spytał:

– A co to był właściwie ten gołąbek pokoju?

W niektórych domach suszono chleb i pakowano w specjalne płóciennie woreczki. U nas nie, ale na przykład babcia Joli i Rysia czyniła to z wielką wprawą. – Na jak długo starczy i czy was uratuje? – spytałem. – Pomoże przebiedować ogólne bezhołowie, które pewnie potrwa jakiś czas, bo jakże inaczej. A w ogóle nie wolno się poddawać. Nigdy, przenigdy, w żadnej sytuacji. Dwie myszki wpadły do garnka ze śmietaną. Jedna uznała swoją sytuację za beznadziejną, nie walczyła o życie, od razu utonęła. Druga tak uparcie przebiebrała łapkami, aż ubiła grudkę masła. Weszła na nią, odbiła się i wyskoczyła na swobodę. Zapamiętaj to sobie. A będzie, co będzie.

My, mężczyźni, odznaczamy się żelazną logiką oraz wyciągamy praktyczne wnioski. Zapytałem mamę, czy warto słać łóżko, myć się i odrabiać lekcje, skoro i tak będzie wojna. Potraktowała serio moją wątpliwość i wyjaśniła najpoważniej, że należy brać pod uwagę wszystkie ewentualności. Również taką, że wojny nie będzie. Bardzo dobrze się składa, gdy rozumny młody człowiek ma sposobność wy-

miany poglądów z kimś myślącym podobnie, tylko jeszcze rozumiejszym i szanującym partnera.

Dziewczynki mieszkające na Pradze nosiły węgiel ze składu opałowego po drugiej stronie ulicy. Któregos razu matka kupiła dwa nowe wiadra. Gdy szły z tymi wiadrami, natknęły się na sąsiada. Zagadnął życzliwie, czy idą po cukier (było to w czasie wojny koreańskiej), a gdy zaprzeczyły, uśmiechnął się: mnie nie zwiedziecie.

Wojenne wykupywanie towarów pozostawiło ślad w literaturze. Zofia Bystrzycka w satyrycznym utworze *Pamiętnik przewidującej* (1952)* nakreśliła rodzinny dramat: jakaś idiotka uległa podszeptom sąsiadki i kupiła wór kaszy, z wielkim zaangażowaniem karmiła nią swoich najbliższych, aż mąż zaczął wieczorami miewać pilne obowiązki służbowe i w końcu się wyprowadził, dzieci też pouciekały; pani domu, choć przewidująca i pełna najlepszej woli, jakoś nie pokojarzyła tych faktów i kupiła drugi wór kaszy. Konstancy Ilde-



Ania, Antoś i Zosia Kroh na tle choinki obwieszanej gołąbkami pokoju.
Zabawa noworoczna, 1952.

* *Antologia satyry polskiej 1944–1955* pod red. Antoniego Marianowicza, PIW, Warszawa 1955.

fons Gałczyński w jednym ze swych ostatnich utworów także przedstawił humorystyczny obraz apokalipsy:

<p>– Tratatata tata, tratatata tata! Panie, panowie, już koniec świata.</p>	<p>kolejki stoją jak stąd do Zgierza; baby uuu! wyją, pisk się rozszerza;</p>
---	---

<p>Na dźwięk puzonu, czyli tej surmy, zaraz na sklepy rzucą się hurmy.</p>	<p>baby skupują kołdry, szparagi, pinezki, nawet wypchane ptaki (...).</p>
--	--

<p>Zgnieceni w tłumie wołają: – Mamo! A w sklepach znika pieprz i cynamon;</p>	<p>A Lis się cieszy, że taki zamęt, łapkę podnosi: – Okay i Amen.</p>
--	---

(K.I. Gałczyński, *Chryzostoma Bulwecia podróż do Ciemnogrodu*)

W dzieciństwie kilka razy przeżywałem wojenne strachy dorosłych. Złazy mi się w jedno. Nie wiem, skąd się brały, nie umiem ich powiązać z jakimś szczególnym wydarzeniem. Myślę, że niekiedy uruchamiały się samoistnie. Strach i niepewność tkwiły pod skórą, rosły, aż w pewnym momencie przekraczały punkt krytyczny. Podobnie czasem ni z tego, ni z owego zapala się siano w stodole. A gdy naród odreagował, psychoza cichła jak szczekanie psa i wszystko pozornie się uspokajało. Do następnego razu.

Myśmy też przeżywali wojenne emocje. Zabawa w wojnę wyglądała tak: na asfalcie ulicy Swarzewskiej kawałkiem cegły rysowało się koło. W miarę koliste, żeby nie było kłótni. To był świat. Dzieliło się je na tyle części, ilu grających. To były państwa. Każdy wykrzykiwał: Polska! Francja! Ameryka! Szwecja! – i już wszystko jasne. Kto wylosował pierwszy, wołał: wywołuję wojnę, wojnę, woj-

nę... Ameryce! Ciskał patyk, wszyscy rzucali się w pogoń, a kto dobiegł pierwszy, zabierał agresorowi kawałek terytorium. Naturalną rzeczą kolejną najstarszy i najsilniejszy gracz był Polską. Nieraz więc się zdarzało, że Polska zajmowała większy obszar niż Rosja i Ameryka razem wzięte.

Na polach bielańskich stał porzucony czołg. Wymontowaliśmy z niego łożyska. Hulajnogi tamtych lat kleiło się z trzech łożysk (dwa z tyłu, jedno z przodu), dwóch desek oraz starej podeszwy od tenisówki, pełniącej rolę przegubu między deską poziomą, na której się stało, i pionową, pełniącą funkcję kierownicy, z przybitym na końcu uchwytem. Miały tę dodatkową zaletę, że straszliwie szurgotały po asfalcie. Wystarczyło kilka minut jazdy tam i z powrotem, aby jakiś nerwowy pan wystawiał głowę przez lufcik i wrzeszczał na całą ulicę, że wszyscy pochodzimy z nieprawego łoża i żebyśmy natychmiast wynieśli się gdzie indziej, bo jak nie, to nam powyrywa. Cudowne uczucie.

Ale najfajniej czuliśmy się w gruzach. (Dziś częściej mówi się „ruiny”). Kamienice, przekrojone bombami od dachów po partery, odsłoniły fragmenty przedpowstaniowych mieszkań. Cegły wystające z rozłupanych ścian tworzyły schodki, a jeśli się niewiele ważyło, miało drobne dziecięce stopy, duszę zdobywcy i ani krzty rozumu, można było się wdrapać choćby i na trzecie piętro. To naprawdę nie było trudne. W pomieszczeniu, które ongiś było kuchnią, może łazienką, ale teraz przybrało kształt loggii z rozległą panoramą, stała



Znalazłem w gruzach, to były moje zabawki.

na trójnogu blaszana balia do prania bielizny. Chłopaki naznosili do niej amunicji, wszędzie pełno jej się walało, zaleli kilkoma kani-strami benzyny skądś podprowadzonej, wsadzili koniec sznura od bielizny, a drugi koniec, ten na dole, podpalili. Wieczorową porą, dla większego wrażenia. I rzeczywiście, było na co popatrzeć i czego posłuchać, a potem wspominać przez wiele dni. Kulki gwizdały, strugi płonącej benzyny tryskające z wysokości tworzyły efektowne esy-floresy. Nazajutrz milicjant chodził od domu do domu, po raz pierwszy w życiu byłem przesłuchiwany. Nikogo nie wydałem, bo nie miałem o niczym pojęcia. Jeśli nie liczyć mglistych, choć bardzo prawdopodobnych podejrzeń. Sprawców nie wykryto, bo byłbym wiedział. Chłopaki ze Swarzewskiej to była elitarna, zamknięta organizacja, a gdy w takim hermetycznym środowisku zawiąże się konspirację w konspiracji, system podwójnego zabezpieczenia, ryzyko wypadki jest minimalne. Pokolenie mamy i pokolenie dziadka wypraktykowało tę starą prawdę.

Samo widowisko batalistyczne, *son et lumière* naszego pokolenia, niestety mnie ominęło, znam je tylko z opowieści naocznych świadków, a zwłaszcza zmasowanych wyzwisk pod adresem młodzieży, w szkole i na ulicy. Jakby starsi byli mądrzejsi.

W roku pięćdziesiątym szóstym miałem trzynaście lat, nie bawiłem się już w chowanego, ale zapamiętałem wyliczankę:

Lenin zjadł lina,
wysrał Stalina.
Stalin zjadł druta,
wysrał Bieruta.
Bierut zjadł schaba,
wysrał Ochaba.
Ochab zjadł bułkę,
wysrał Gomułkę.
Pałka, zapalka, dwa kije,
kto się nie schowa, ten kryje. Szukaaaam!

Jesienią w Budapeszcie lała się krew, w Warszawie wrzało, czołgi radzieckie szły od Legionowa na Żerań, robotnicy szykowali się do obrony, wojna wisiała na włosku. Sowietci zawrócili na północ; nietrudno było wywnioskować, że przejdą Wisłę w Modlinie, a jutro, najdalej pojutrze wychyną z Puszczy Kampinoskiej i będziemy ich mieli u nas na Bielanach. Pani Zofia Ringmanowa, dyrektorka, drobna siwa staruszka, roztrzęsiona, zwołała całą szkołę na apel i błagała, zaklinała łamiącym się głosem, żeby nie dać się w nic wplątać, w niczym nie uczestniczyć. Nie prowokować, nie krzyczeć, nie robić obraźliwych gestów, nie rzucać kamieniami. Najlepiej siedzieć w domu. Ten młody, biedny Wania w czołgu niczemu nie winien, też się boi, wie o naszych polskich sprawach tyle, co mu powiedzieli, może nie zdzierżyć, a wtedy dojdzie do rzeczy nieodwracalnych.

Ktoś mruknął, może nawet to byłem ja, że pani dyrektorka coś za bardzo strachliwa, nie wypada się tak Ruskich bać. Wychowawczyni dosłyszała i zaraz po apelu, gdy wróciliśmy do klasy, wygłosiła mowę. O tym, że pani przełożona (używała tej formy, bo też była przedwojenna) w czasie wojny prowadziła tajne nauczanie, po stronie aryjskiej i w getcie. W razie wpadki śmierć na miejscu, jakby kto pytał. W getcie wykładała przedmioty ściśle, uczestniczyła w egzaminach maturalnych w konspiracyjnym liceum. Przemyciała żydowskie dzieci na aryjską stronę, robiła tysiąc innych rzeczy. W tych najtrudniejszych latach znana była z zimnej krwi i szaleńczej odwagi. Teraz rzeczywiście się boi, ale nie o siebie, tylko o was. Wie, co to wojna, bo przeżyła trzy. Żadnej z nich za piecem nie przesiedziała.

W latach stalinowskich też zachowała twarz. Wspominał ją Jacek Kuroń:

„(...) od razu na pierwszej lekcji religii wstałem i zacząłem polemizować z księdzem. (...) Zapytałem, czy mogę wyjść, bo jestem niewierzący, on na to, że oczywiście. Wyszło ze mną jeszcze dwóch kolegów, poszliśmy grać w siatkówkę. Wkrótce w naszej klasie zrobiło się piętnastu ateistów, dobre dwie drużyny. (...) Ksiądz poskar-

żył się dyrektorze, a była to Zofia Ringmanowa, staruszka, jeszcze ze szkoły Sempołowskiej, wybitna działaczka strajku szkolnego w 1905–7, wspaniała baba. Kiedy następnym razem wybiegliśmy tłumem z religii, powiedziała:

– Panowie wolnomyślnicy, żadnej siatkówki, uczyliśmy się fizyki.

I zaczęła odpytywać, stawiając każdemu po trzy dwójki. (...) gdyby ktokolwiek z nas doniósł na Ringmanową, że obcina z fizyki młodzież, która wychodzi z religii, to natychmiast przestałaby być dyrektorką. (...) nigdy, ani przez chwilę nie próbowała przedstawić się jako zwolenniczka nowego ładu. Stawiała dwójki, ale przy całej swojej surowości była bardzo sprawiedliwa. Złośliwa i jednocześnie niesłychanie życzliwa. Była dla nas starą reakcjonistką, ale wiedzieliśmy, że nie karierowiczem. Dyrektorką była od zawsze, baliśmy się jej, ale i lubiliśmy ją”*.

A więc dzięki temu, że Kuroń i jego koledzy nie podporządkowali się ideologii, którą wtedy wyznawali i pragnęli wprowadzić w życie, parę lat później zdążyłem jeszcze pochodzić do liceum pod dyrekcją pani Ringmanowej. Podczas Wyścigu Pokoju, gdy na Stadionie Dziesięciolecia kolarz radziecki w chuligański sposób odebrał pewne zwycięstwo Polakowi, stadion gwizdał, także podczas dekoracji i odgrywania hymnu ZSRR. Cała Warszawa o tym mówiła. Pani dyrektorka też, na apelu.

– Mamy sąsiadów takich czy innych, ale tym bardziej powinniśmy się godnie zachowywać. Nic nas od tego nie zwalnia, bo przecież jesteśmy Polakami. Gdyby na widok tego łajdactwa publiczność wstała i w milczeniu skierowała się do wyjścia, miałoby to bez porównania silniejszą wymowę. A tak, było, jak było: jeden łobuz na bieżni i siedemdziesiąt tysięcy łobuzów na trybunach. Szkoda, przepadła świetna okazja. Cały świat by o tym mówił, dopiero mieliby się z pyszna.

W moich czasach licealnych, to znaczy w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, jeszcze pracowali przedwojenni profesorowie. Trudno

* J. Kuroń, *Wiara i wina. Do i od komunizmu*, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1990.

definiowalne, ale wyraziste zjawisko. Między nimi a generacją następców ziała przepaść, rów tektoniczny. (Jak wszystkie uogólnienia, również i to odnosi się do zbiorowości, nie jednostek). Różnica była zasadnicza – pedagodzy starej daty budzili respekt bez podnoszenia głosu, wyzwisk czy okazywania uczniom lekceważenia. Oni byli kulturalni. Godni szacunku, jak to się mówiło. Nie tylko nieśli oświaty kaganiec, ale nawet, aż trudno dzisiaj w to uwierzyć, akceptowali nasze istnienie, a niekiedy okazywali nam sympatię. Czego nie dało się powiedzieć o ich młodszymi kolegach. Panowało wtedy powszechne przekonanie, że pracować do szkoły idą ci, którym gdzie indziej się nie powiodło. Sami o tym mówili. Uczniom. Tak jest, pamiętam. Ubolewali, że są marnie opłacani i dlatego my, uczniowie, ich nie szanujemy. Istotnie, szanowaliśmy ich nieszczególnie, lecz może nie z tego powodu. A w ogóle byliśmy obrzydliwi. Taki na przykład Kroh: tępak, głąb, osioł, leń, tuman i jak pani T., polonistka, na niego patrzy, to zbiera jej się na wymioty. Rzecz działa się w szacownych murach renomowanego warszawskiego liceum, czwartego i ostatniego w mojej karierze. Pani profesorko, z wzajemnością. Od mojej matury minęło prawie pięćdziesiąt lat, przeżyłem niejedno, ale takiego traktowania, jak w liceum, później nie zaznałem. Trudno się od tego uwolnić.

W naszej ówczesnej mowie słowo „przedwojenny” oznaczało „solidny, w dobrym gatunku, godzien zaufania”. Przedwojenny garnitur, przedwojenny szewc. „Dadzą mi naganę za nieobecność na zebraniu czy nie dadzą, mi to wisi jak kilo kitu u sufitu na przedwojennej agrafce” – zanotowała mama spontaniczną wypowiedź koleżanki w biurze, lata 50. „Masło przedwojenne” (sklepek w Łodzi na Piotrkowskiej, lata 40. Osoba, która to zapisała, była zdumiona, że tylu ludzi na widok tej wywieszki uśmiecha się ze zrozumieniem). „Od kiedy tylko zacząłem swe świadome życie, zdarzyło się tu i ówdzie słyszeć określenie «przedwojenny pan». Mawiano tak z podziwem o ludziach, którzy wyrosli z międzywojennej Polski i potrafili w życiu zachować formy i zasady, które im wtedy zaszczerpiono.

«Przedwojenny pan» to był w każdym calu džentelmen, nieprzekraczający pewnych granic w trudnych sytuacjach, trzymający w ryzach słowa i emocje”. („Kulisy” I 1993). „On jeden może to wiedzieć, ma przecież przedwojenną maturę!” (zasłyszane, Wrocław 1968). „Jakoś się trzymam, przecież chodzę na solidnych, przedwojennych częściach” (wyznanie staruszka, zasłyszane, Łódź 1972). „Odszedł rzemieślnik starej daty, skrojony z dobrego, przedwojennego materiału. Życzliwy dla klientów, niedzisiejszy, bo siedzący w warsztacie długo po oficjalnych godzinach otwarcia, dotrzymujący słowa i terminów”. („Dziennik Polski” IX 1997)*.

Gdy położyli mnie w szpitalu, pan z sąsiedniego łóżka, starszy człowiek, był właśnie po skomplikowanej operacji. Ordynator podczas codziennego obchodu oglądał go i powtarzał:

– Zrasta się, świetnie się zrasta! Żadnych powikłań! Zuch z pana! Przedwojenna, solidna robota, od razu widać!

Niektórzy starsi wyznawali pogląd, że doświadczenia wojenne wyniosły ich na szczyty eksperencji. Są tacy mądrzy i doświadczeni życiowo, że już bardziej się nie da. Wiele razy słyszałem: ech, ci młodzi, niczego nie zaznali, cóż oni rozumieją, co tam oni wiedzą. Po czym westchnienie i charakterystyczny ruch ręką. Próbowałem oponować, że skoro urodziłem się w roku czterdziestym drugim i żyję, to i ja przeżyłem wojnę. A co ty przeżyłeś, dzieciuchu, co ty pamiętasz. Dałem więc spokój i przyjąłem porządkujące założenie, że każdy dorosły to wariat, tylko nasilenie i objawy fiksum-dyr dum bywają rozmaite.

A było co podziwiać. Druh haremistrz M. stale miał przy sobie dwa chlebaki. W jednym apteczkę, w drugim żelazną rację żywnościową. Przechwalał się, że dwa razy dał się zaskoczyć, ale trzeci raz już go nie podejda. Pani profesor doktor K. za żadne skarby nie zostawiła płaszcza w szatni, nawet w restauracji czy w teatrze; reagowała złością, gdy ktoś zwracał jej uwagę. Bo przecież gdyby przy-

* B. Magierowa, A. Kroh, *Prywatny leksykon współczesnej polszczyzny* (w przygotowaniu).

szło co do czego, mogłaby go stracić; płaszcz z przedwojennej bielskiej wełny, dziś nie do zdobycia. Inna pani K., ongiś królowa elegancji, muza poetów, bywalczyń Ziemiańskiej i Adrii, paradowała po Warszawie w nieprawdopodobnych łachach. Tłumaczyła, w czasie wojny ubranie szybciej się niszczy, więc rozsądek podpowiada, by sprawunki odłożyć na spokojniejsze czasy. Mruknąłem, że przecież... i natychmiast tego pożałowałem. Pan Ch. również był ciężko chory na wojenną abnegację. Brał prace zlecone, ślęczał nad nimi po nocach, tyrał jak wół, oddawał w terminie, ale już nie starczało mu energii, by jechać na drugi koniec Warszawy po wypłatę (nie było wtedy prywatnych kont bankowych ani przelewania honorariów). Bo proszę państwa czasy są takie, że nie ma co zaprzętać sobie głowy pieniędzmi, przecież i tak w jednej chwili wszystko diabli wezmą. Wolał się zadłużać i nie zwracać, to według niego było bliższe prawom natury. Wkrótce przestano mu pożyczać, co przejmowało go bolesnym zdziwieniem. Ostentacyjnie marudził, że znowu nie ma innego wyjścia, jak fatygować się do kasy po pieniądze, jakaż to strata czasu. Pani W. mieszkała po wojnie w małym parterowym domku; często wstawiała w nocy i po ciemku, zachowując się jak najciszej, tkwiła za firanką, bo wciąż jej się wydawało, że ktoś chodzi pod oknami. Jej kilkuletnia wnuczka też swoje przeszła, spała czujnym płytkim snem dzikiego zwierzątka – i kiedy babcia stawała przy oknie, nieruchomo leżała w ciemnościach z otwartymi oczami, przerażona, że to po nią ktoś idzie. Pani M. pod koniec życia jeszcze raz musiała się przeprowadzać. Jej córka, opróżniając piwnicę, trafiła na stare drewniane saneczki. Chciała je podarować dzieciom z sąsiedztwa. – Nie, zostaw! – Dlaczego? – Jak to dlaczego? A na co wsadzimy rzeczy, gdy nas będą wysiedlać i wrzasną: *собирайтесь с вещами!**. Pan G., jowialny starszy pan, miał zadowoloną minę i zawsze jakiś żart na podorędziu, dopóki nie usłyszał w publicznym miejscu języka niemieckiego. Wtedy zaczynał tupać, wymachiwać

* Szykujcie się w drogę z rzeczami!

laską i wrzeszczeć, a znał sporo niemieckich przekleństw. Plotkowano o nim, że omija Świętokrzyską, żeby nie patrzeć na witrynę Ośrodka Kultury i Informacji Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Pan S., człek sympatyczny, inteligentny, dystygowany, kierownik działu w dużej instytucji, przeszedł przez Oświęcim. Oszacował, nie wiem, jak do tego doszedł, koszt utrzymania statystycznego kacetowca, przeliczył to na złote polskie końca lat pięćdziesiątych, pomnożył przez pięć i wynik uznał za współczynnik absolutnego komfortu. Wypominał podwładnym, że nie dość, że się pławią w dostatku, to jeszcze zachciewa im się jakichś podwyżek, to przecież niemoralne. Gdy odchodził na emeryturę, uradowany personel złożył się na pożegnalną wystawną bibkę. Pani G. po wojnie ułożyła sobie życie, ale przeszłość nie dawała się wymazać; gdy jej syn dorastał i zaczął oglądać się za dziewczynami, wygłosiła mu pogadankę uświadamiającą, że kobieta często podkreśla urodę fryzurą albo strojem. Dlatego wybrankę serca trzeba wyobrazić sobie w pasiaku, z ogoloną głową; dopiero wtedy można ocenić, czy jest ładna, bo niektórym taki obozowy wygląd dodawał urody, inne szpecił. Pan J., w miarę jak zapadał w starość, coraz częściej opowiadał o swojej odwadze; grywał Chopina w prywatnych mieszkaniach, co groziło najsurowszymi konsekwencjami. Tak się złożyło, że zwierzał się z tego pani, która służyła w wywiadzie AK i sporo przeszła; ona także się starzała, wspomnienia nieustraszonego pianisty były dla niej coraz trudniejsze do zniesienia. Niepotrzebnie się irytowała; mogła przecież wziąć pod uwagę, że pan J. wirtuozem był nieszczerólnym; owe koncerty pozostały najszcześniejszymi chwilami jego życia, w normalnych czasach nie zebrałby tylu wzruszonych słuchaczy.

Pani A. wakacje pięćdziesiątego piątego roku spędzała w Bukowinie, spacerowaliśmy, bawiła ją moja góralska gwara, podarowała mi książkę *Biała foka*. Co wieczór przy kolacji na werandzie opowiadała babuni o Ravensbrück, ale o samym obozie niewiele; przeważnie mówiła, jak po wojnie Szwedzki Czerwony Krzyż zaprosił byłę więźniarki na rekonwalescencję. Trudno jej było znieść ten natych-

miastowy przeskok z hitlerowskiej katorgi w senne szwedzkie miasteczko, między gospodynie domowe, pełne najlepszej woli, troskliwe, serdeczne, wyrozumiałe. Po jakimś czasie delikatnie poprosiły, żeby im wygłosić serię pogadanek o warunkach życia w obozie koncentracyjnym. Słuchały, kiwały głowami, bardzo chciały zrozumieć, miały coraz smutniejsze oczy, aż w końcu któraś zapytała o zawartość obozowej biblioteki i czy przy łózkach były nocne lampki. Opowieść o bibliotece i nocnych lampkach słyszałem kilka razy. Pani A. po powrocie do Polski skończyła studia, podjęła pracę, wyszła za mąż, urodziła dwoje dzieci. Ale o tym nie mówiła. Tylko o tych zasłuchanych kobietach. Za każdym razem kończyła konkluzją, że bezdenna głupota owych Szwedek była całkowicie zrozumiała. One były normalne, my nie. Bo przecież tamtych przeżyć nie da się ogarnąć zwyczajnym rozumem.

Pani D., z pochodzenia wilniuczce, na wrocławskiej ulicy nagle zastąpił drogę mężczyzna w sowieckim mundurze i o coś zapytał po rosyjsku. Nie wiedziała, jak i kiedy znalazła się w bramie. Tkwiła tam do zmroku, bo miała pełno w majtkach i krępowała się wyjść.

Zosia, urodzona w czterdziestym szóstym, pisze, że jako kilkuletnie dziecko była przekonana, że nigdy w życiu nie będzie mieć przyjaciół, no bo kto będzie chciał się z nią zaprzyjaźnić – przecież urodziła się po wojnie, więc jest gorsza. „Oczywiście dość szybko wyrosłam z tego i nie zostawiło to u mnie żadnych urazów, a teraz się tylko uśmiecham, gdy sobie o tym pomyślę”.

Raz po raz ktoś ze starszych opowiadał, że w odpowiednim momencie coś go tknęło i tylko dzięki temu żyje. Potem na ogół ktoś inny dodawał, że jego też tknęło i również żyje wyłącznie z tego niepojętego powodu. „Szedłem Nowym Światem, coś mnie tknęło, skręciłem w Warecką, a wieczorem dowiedziałem się, że gdybym tego nie uczynił, wlaźłbym prosto na łapankę w Alejach”. Albo: „Byłam łączniczką, nosiłam bibułę, broń, już mi to nawet trochę spowszedniało, nie zastanawiałam się, że mogą mnie zwinąć, ale tamtego dnia coś mnie tknęło, wyszłam na miasto czysta jak łza, no i ze trzy

razy żandarmi zaglądali mi do torby”. Następowwała pointa adresowana do młodych: pamiętajcie dzieci, że jeśli coś was tknie, należy posłuchać przeczucia, nie ignorować, nie wzruszać ramionami.

Ludzie, których coś tknęło i chętnie o tym opowiadali, byli zjawiskiem na tyle częstym, że my, warszawskie dzieci pierwszych lat powojennych, przejęliśmy ten wyraz, nadając mu nowy sens. – Tknęło cię? – znaczyło w naszej mowie to, co dzisiaj: odbiło ci? Przez wiele lat byłem przekonany, że wszystkie owe tknięcia to zabobon, nie nigdy nikogo nie tknęło, a jeśli w odpowiedniej chwili skręcimy w Warecką albo na przykład nie wsiądziemy do auta i dzięki temu unikniemy katastrofy, jest to czysty przypadek; równie dobrze mogliśmy dać się złapać, w ogólnym rozrachunku wychodzi na jedno, przecież zawsze tak jest, że ktoś skręca w Warecką, a ktoś inny zasuwają prosto ku swemu przeznaczeniu. Otóż razu pewnego mnie także tknęło. Nagle, na polecenie Anioła Stróża, zmarłych przodków albo nie wiem czyje, jakby mi ktoś nacisnął pstryczek w mózgu, postąpiłem nieracjonalnie, bez sensu, co niebawem okazało się wyjściem najlepszym z możliwych. Gdyby mnie było nie tknęło, wpadłbym w paskudną sytuację. Nie wiem, czy i jak udałoby mi się z niej wypłatać. Strach wspominać.

Tknęło cię? Zapewne już w starożytnej Grecji młodzież miała swój język środowiskowy, irytujący dorosłych, zwiastujący niechybny upadek kultury. U nas na Bielanych w latach pięćdziesiątych modne było pozdrowienie: czołem, stary trupie. Znaczyło: witaj przyjacielu, miło mi cię widzieć. Nie wiem, czy modę na starego trupa można zaliczyć do wojennych reminiscencji. Chyba tak. Żyła dłużej niż inne, ponieważ bardziej działała dorosłym na nerwy. Wielokrotnie mi wytykano, że nie wiem, co mówię, skoro prawdziwego trupa na oczy nie widziałem. Dziwna pretensja. Widziałem, nie widziałem, co z tego? Nazywanie ludzi facetami uchodziło, równa babka mogła być, forsiega zamiast pieniędzy była do przyjęcia, natomiast stare trupy wywoływały nerwowe reakcje. Babciu, zostawiam na wierzchu zeszyt od geografii, za godzinę przyjdzie trup, obieca-

łem mu pożyczyć. Powiedziawszy to, należało natychmiast rzucić się do drzwi, aby nie słyszeć, co babcia ma w tej sprawie do powiedzenia. Otóż gwara młodzieżowa odgrywa znaczną rolę w utrzymaniu ciągłości kultury. Tam, gdzie Polacy są w mniejszości, na przykład w Londynie czy we Lwowie, główną przyczyną wynarodowienia jest brak miejscowej polskiej gwary młodzieżowej. Dzieci przechodzą na rosyjski, na angielski, bo język Sienkiewicza czy Orzeszkowej nie oddaje ich świata.

Wojna mieszała ludziom w głowach na tysiące sposobów. Pani generałowa Andersowa wspominała z uśmiechem, że jeszcze długo po wojnie mąż nie zgadzał się na kupno porządných mebli do ich londyńskiego mieszkania, po co, przecież niebawem będziemy znów się przeprowadzać, tym razem na dobre, do Warszawy... Nie dowiemy się nigdy, ile w tym było kalkulacji politycznej, a ile bezwiednego przedłużania najintensywniejszych lat w życiu generała, gdy obywatel się prawie bez mebli. Pan profesor S. powiedział kiedyś mimochodem na wykładzie, wprawiając mnie w zdumienie, że okupację w Warszawie wspomina z rozrzewnieniem, to najlepsze lata jego życia. – Nie w tym rzecz, że byłem wtedy młody, choć oczywiście i to nie jest bez znaczenia. Ale mam na myśli co innego. Atmosferę. Tramwaj, ulica, sklep – czuło się solidarność, życzliwość. Było jasne, kto nasz, a kto wróg, któredyś biegnie linia podziału. Zwyciężymy, choć nie wiadomo kiedy, ale to w końcu nie takie ważne. Człowiek cieszył się i był dumny, że Pan Bóg stworzył go Polakiem. Nie macie państwo pojęcia – nieznajomi na ulicy uśmiechali się do siebie.

Powstańców warszawskich, których dane mi było poznać, dzieliłem na dwie kategorie: tych, którzy po wojnie żyli zwyczajnie, oraz tych, którzy również żyli zwyczajnie, ale czas im się zatrzymał, nie oprócz powstania się dla nich naprawdę nie liczyło. Mówiono, że raz na zawsze stanął im zegarek. W ciągu owych sześćdziesięciu trzech dni zużyli cały zapas życiowej energii, nie zostało nic na później, no i tak padło, że powstanie to była ich jedyna wartość, potem już jechali na jałowym biegu. Na ogół bliższe i dalsze otoczenie miało ich serdecznie

dosyć. W knajpie Flis na Hożej, gdzie serwowano tylko jedną potrawę, flaki, było zawsze pełno, głównie mężczyzn. Przed bufetem długa kolejka, jadło się na stojąco, trudno było o miejsce. Ciasno. I chyba z powodu owej ciasnoty i przewagi mężczyzn kręcił się tam dziwny osobnik, ciut szmatławy, strasznie namolny. Niby przychodził na flaki, ale raczej po to, by mieć słuchaczy swoich powstańczych wspomnień. Myślałem, że fantazjuje. Kiedyś trochę na odczepnego spytałem go o pseudonim i przynależność. Sprawdziłem i dowiedziałem się, że to bohater, legenda Starówki, a wszystko, co mówił, było prawdą.

– Serwus – uśmiecha się Tadek – jak się masz? – Marnie – odpowiadam – nie mam forsy, głód mi grozi. Tadekowi twarz się zmienia. – Ty dumny, nie gadaj, jak nie rozumisz, co gadasz. Głód mu grozi! Ty wiesz, co to głód? Idę we Lwowie ulicą, za Sowietów to było, miałem wtedy z piętnaście, może szesnaście lat, i gość mnie zaczepia, że bym pomógł meble staszczyć z pomieszkania na trzecim piętrze. Ta dobrze. Fest dygowałem ze dwie godziny. Zafasowałem za to półlitrową flaszkę oleju, takiego do smażenia. Zasuwa dumny jak jaki rycerz spod Grunwaldu, cieszę się, że dam mamie, zobaczy, jaki ze mnie mężczyzna, głowa rodziny, ałem nie zdzierzył, odkorkowałem flaszkę, przytknąłem do ust. Tylko kapkę, tylko łyceczek. Joj, jakie dobre. Patrę, a ona próżna. Wstyd mi się strasznie zrobiło, mamie się nie przyznałem, ten olej prześladował mnie wiele lat. Głód. Ty frajerze. Głód to będzie wtedy, gdy idąc do domu z bochenkiem chleba, będziesz go chował, żeby ktoś na ulicy nie zobaczył i cię nie stuknął, żeby go chapnąć, paćanie jeden.

Do babci przyszła na pogaduszki sąsiadka, pani C., bezetka. Rozmawiały po francusku i niemiecku, żeby Antoś nie zrozumiał i gdzieś czegoś nie wypaplał, chociaż takie słowa, jak Stalin, Bierut, Rokossowski, Sowietci, komuniści brzmiały dla dziecka zrozumiale, a resztę można było sobie bez trudu dośpiewać. Ale gdy pani C. zaczęła wspominać wrzesień trzydziestego dziewiątego, odruchowo przeszła na polski. Widocznie uznała, że tego w innym języku opowiedzieć się nie da. Mieszkała w Warszawie, niedaleko żeńskiego

klasztoru, gdzie naturalną rzeczą kolejną zorganizowano szpital polowy. Pani C. poszła do przeoryszy zaofiarować pomoc – była doświadczoną sanitariuszką jeszcze z dwudziestego roku. – Doskonale – ucieszyła się ksieni – a w której sali chce pani pracować, oficerskiej czy żołnierskiej? – Tam, gdzie będę potrzebna, gdzie matka przełożona rozkaże – odpowiedziała pani C. z lekkim zdziwieniem. – Doprawdy? – zdumiała się mniszka – to świetnie. Proszę wybaczyć to pytanie. Eleganckie damy, których tu pełno, chcą się troszczyć tylko o oficerów. Skutek taki, że oficerowie mają po kilka opiekunek, a żołnierzom nie ma kto zmieniać opatrunków.

Babcia opowiedziała tę historię mamie, mama panu K. Rozpromienił się. – Wiesz, we wrześniu byłem ranny w nogę, leżałem w Chełmie, to była sala szkolna. Przyszła panienka ze dworu, spytała, który z panów jest najwyższy rangą, wręczyła mu elegancki pakunczek, w środku rurki z kremem. Zapytał, czy ma takie rurki dla wszystkich. – No, nie, tylko dla pana chorążego. – Cisnął podarunkiem, krem spływał po ścianie, ranni żołnierze wybuchnęli śmiechem, panienka zrobiła obrażoną minę i poszła. Mama i pan K. zastanawiali się, czy to przypadkiem nie była ciocia Jadzia. Uzgodnili, że trudno powiedzieć.

Drugą wojnę światową oglądałem jak cienie w pieczarze, cudze wspomnienia, reminiscencje, powidoki. Ale bardzo intensywnie. Pierwszą wojnę i wojnę dwudziestego roku ciepłej, milej, bo w opowiadaniach i piosenkach. Pełniły rolę kołysanek, dobranocek, pojawiały się na przemian z Kaczką Dziwaczką i Słoniem Trąbalskim. Bajkę o Jasiu i Małgosi zatrzymała domowa cenzura, skoro czarownica zamierzała dzieci upiec i zjeść. Wierszyk *Dziad i baba* o tym, że śmierć weszła kominem do chatki, w której zabarykadowała się para staruszków, również był nieodpowiedni, zwłaszcza ze względu na ekspresyjne ilustracje. Pieśni legionowe nadawały się jak ulał.

A jeżeli zginę od szabli,
nie zabiorą duszy mej diabli.

Nie zabiorą duszy do piekła,
bo by im po drodze uciekła.
Odilidilidi, odilidiradi,
nie taka to straszna jest ze śmiercią gra.
Odilidilidi, odilidiradi,
nie taka to straszna ze śmiercią gra.
A jeżeli zginę w południe,
zagra mi muzyka przecudnie.
Zagra mi muzyka tak mile,
że stanę posłuchać na chwilę.
Odilidilidi, odilidiradi...
A jeżeli zginę od kuli,
nie mówcie nic tylko matuli.
Powiedzcie jej proszę, że żyję,
i kawę codziennie se piję.
Odilidilidi, odilidiradi...

Latem trzydziestego dziewiątego Polskie Radio nadawało to co kilka godzin, żeby ludziom dodać otuchy, oswoić zbliżającą się wojnę. Rodzice właśnie kupili odbiornik. Minęło parę miesięcy; radio trzeba było owinać kocem i o szarej godzinie wynieść w pole rozciągnięte między Sadybą a Wilanowem, zatłuc młotkiem i przysypać piaskiem. Zdecydowali, że nie będą narażać życia swojego i małej Anusi, a odniesienie cennego odbiornika Niemcom nie wchodziło w rachubę.

Biorąc w rękę dawny żołnierski śpiewnik, uśmiecham się co chwilę: sami starzy znajomi, wiązanka kołysanek mojego dzieciństwa.

Ksiądz mi zakazał, żebym nie całował w rozdziałek,
a ja sobie muszę uradować duszę w poniedziałek.

Aktorek we wtorek, pod brodę we środę, czwartek nie pamiętam,
dziewczątek choć w piątek, Dorotę w sobotę, w kościele w niedzie-

lę, w Popielec bom strzelec. *Jedzie, jedzie na Kasztance siwy strzelca strój. Ułani, ułani, malowane dzieci. Siedział sobie święty Pieter, o rety.*

Hej panienki posłuchajcie, raz dwa trzy,
i gazetki poczytajcie, raz dwa trzy.
Są tam wesołe nowinki, wesołe nowinki,
będzie pobór na dziewczynki, raz dwa trzy.
Z najpiękniejszych warszawianek, raz dwa trzy,
utworzymy pułk ułanek, raz dwa trzy,
a która nie ma ochoty, nie ma ochoty,
to ją damy do piechoty, raz dwa trzy.
Stare, brzydkie i garbate, raz dwa trzy,
posadzimy na armatę, raz dwa trzy,
krawcowe będą w rezerwie, będą w rezerwie,
gdy się komuś guzik zerwie, raz dwa trzy.
Wygadana porucznikiem, raz dwa trzy,
wykształcona pułkownikiem, raz dwa trzy,
gdy będzie chłopców kochała, chłopców kochała,
dojdzie stopnia generała, raz dwa trzy.
Gdy się o tym ksiądz dowiedział, raz dwa trzy,
na plebanii nie wysiedział, raz dwa trzy.
Myślał w nocy i nad ranem, w nocy i nad ranem,
jakby zostać kapelanem w wojsku tym.

Tę piosenkę lubiłem szczególnie, śpiewałem z uczuciem i wyrazi-
stą, dziecięcą mimiką, dorośli klaskali, babcia się gorszyła, było wspa-
niale.

Kiedyś dziadek nucił sobie przy goleniu, a widząc, że kręcę się
po kuchni, zastosował, pewnie z niechęcią, autocenzurę:

Pan porucznik nic nie winien, hm, hm, hm, hm, bo powinien.
Ale panna, panna winna, hm, hm, hm, hm, nie powinna.

Zachodziłem w głowę, co powinien pan porucznik, a czego pan-
na nie powinna, lecz nie udało mi się nic wydedukować.

Gdy kogut piał swe kukuryku, pies szczekał mu na vis-à-vis,
wtedy nagle w bojowym swym szyku pułk ułanów zawitał do wsi.
A matka mówiła do córki, o nie ciesz się córuś, o nie,
pójdziemy dziś spać do komórki, bo ułani to bestie są złe

(na melodię carskiego marsza jegrów fińskich, zresztą).

Miała matka trzech synów, dwóch mądrych siedzi w domu,
a trzeci, że był głupi, poszedł do legionów.

(Szybko się zraził panującą tam głupotą, więc zrezygnował).

I wraca syn do matki, idzie se poprzez pole,
na piersi mu się błyszczą trzy złote mendole*.
A jeden mendol za to, że Moskali omijał,
a drugi mendol za to, że wszy tego bijał.
A trzeci, najważniejszy, na wstążce zawieszony,
kupił se go w Krakowie za cztery korony.
Dobrze, dobrze matulu u ciebie tu w chałupie,
a ja te trzy mendole powieszę na czole.

Czasem sobie podśpiewuję i od razu mi lżej. Nie tylko piosenki
nadające się na rocznicową akademię, ale i te z węższego kręgu wta-
jemniczenia.

Na cmentarzu wicher śwista,
kury już przestały piąć,
tylko jeden legionista
ściągnął portki, zaczął srać.

* Połączenie medali z mendami.

Wtem otwiera się mogiła
i wychodzi kościotrup,
czemuś, czemuś legionisto,
czemuś nasrał na mój grób?

Mam cię w dupie, kościotrupie...

Dalej nie umiem.

Zosia, młodsza ode mnie o cztery lata, pisze z Anglii, że też ma wielki sentyment do legionowych piosenek, ale gdyby miała wybierać, to *Rozkwitały pęki białych róż*. „Śpiewam sobie od czasu do czasu, ale tylko wtedy, gdy jestem sama, bo strasznie fałszuję i nie wiem, czy mi się po takim śpiewaniu robi lepiej, czy gorzej”.

Wiele jest książek o działaniach wojennych, mniej o wojnie jako formie kultury i sposobie myślenia, szczególnym rodzaju więzi społecznych, gospodarczych, rodzinnych, o tęsknocie za wojną, potrzebie wojny i w ogóle wojnie tkwiącej w ludziach, o wojennych ideałach, obyczajach, erotyce, etykietce, patosie i kiczu wojennym, wojnie będącej niepowtarzalną okazją do załatwiania spraw osobistych.

Może jakiś młody wilczek, który właśnie skończył studia i rozgląda się pożądliwie, na czym by tu sobie zęby połamać, wgrzyzie się w temat wojny jako organicznej części naszej cywilizacji? Wysznuje odkrywcze, czyli banalne wnioski, rodacy zmieszają go z błotem, zasłynie. Być może w którymś momencie będzie musiał wrzucić do jednego worka potworności wojny i folklor Studium Wojskowego Uniwersytetu Warszawskiego. – Obywatelu majorze, fama głosi, że pisze pan pracę doktorską. – Tak, a na jaki temat? – Krok defiladowy na gruntach podmokłych. – Powiedźcie Fannie, że jest idiotą.

* * *

Ojciec po wojnie pracował na Mazurach, montował i demontował stalowe konstrukcje. Za którymś razem przyjechał do Warszawy w skórzanej poniemieckiej kurtce z wielką ilością kieszeni, świetnej do

pracy w terenie. Zostawił ją w domu, bo był lipiec, upały, a wkrótce miał powrócić. Dziesięć lat po jego śmierci odkryłem tę kurtkę w szafie i zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Dokładnie czegoś takiego było mi potrzeba, abym uwierzył, że wyglądam jak chłopiec z lasu nazajutrz po demobilizacji. Kurtka znoszona, tu i tam przetarcia, plamy. Od ściółki, gliny w ziemiance, może od krwi. Dobitnie dawała do zrozumienia, że moje życie toczy się gdzie indziej, a w szkole znalazłem się absolutnym przypadkiem, zaraz stąd pójdę i nigdy nie wrócę. Byłem wtedy zafascynowany opowieściami o Leopoldzie Lisie-Kuli, który jako szesnastolatek został zastępcą komendanta okręgu Związku Strzeleckiego w Rzeszowie, dwa lata później podporucznikiem Pierwszej Brygady Legionów Polskich, okrył się chwałą pod Łowczówkiem i Krzywopłotami, a w tak zwanych wolnych chwilach kuł do matury, bo do Legionów uciekł ze szkolnej ławy. Zimą 1915 roku dostał kilkudniowy urlop i wprost z frontu, w polowym mundurze, stanął przed gronem pedagogicznym szacownego cesarsko-królewskiego gimnazjum w Wadowicach. Grono zdało egzamin, bowiem uchwaliło jednogłośnie, że abiturient wystarczająco dowiódł swej dojrzałości, i wręczyło mu świadectwo maturalne (celujący, celujący, celujący...) bez dodatkowych indagacji. Niesłychana historia. I jeszcze druga. Gdy w 1932 roku w Rzeszowie odsłaniano pomnik Lisa-Kuli, zjechali się jego dawni towarzysze broni. Popili sobie, rzecz zrozumiała. Któryś przerwał pompatyczne przemówienie, śpiewając Lisowi sznapsbarytonem legionową piosenkę, może niezbyt stosowaną („Już murarze grób murują, tarara, niech mnie w dupę pocałują. Ksiądz kapelan trzyma mowę, tarara, a ja jemu sram na głowę. Liga Kobiet wije wieńce, tarara...”), inny głośno się zwierzał, cóż to za uczucie być z pomnikiem na ty, gnieździć się z nim w ziemiance i biegać do latryny pod ogniem Moskali; jeszcze inny pozdrowił rzeźbę uniesionym kieliszkiem i okrzykiem: Czołem Lisie, twoje zdrowie! Nikt nie ważył się ich upomnieć, pułkowników i generałów.

Nie wiem, czy stryj Tadeusz Lechnicki uczestniczył w tym święcie, ale bardzo prawdopodobne, bo w czasie wielkiej wojny był bez-



Tadeusz Lechnicki, artylerzysta,
około 1915.

pośrednim podkomendnym pomnika i przeżył z nim niejedno, no i lubił takie okazje. Był nieprześcignionym wodzirejem, świetnie tańczył mazura, a gdy tańczono we dworze, wyprowadzał korowód oknem i wprowadzał drzwiami. Ileż było przy tym pisku, ile radości! Panie śpiewały: „Est-ce-que tu connais colonela postać? Ah, comme je voudrais jego żoną zostać!”*. Nawet kronika filmowa Polskiej Agencji Telegraficznej, jedna z ostatnich przed wojną, uwieczniła tradycyjną pogoń za lisem, w kilkadziesiąt koni, pod jego komendą.

Za czasów władzy ludowej posąg Lisa Kuli znikł, pozostał tylko skwerek i powietrze, zaś parę kroków dalej wzniesiono monument, z racji swej niebanalnej rzeźbiarskiej formy natychmiast ochrzczony Cipą Kruczkowej (żona rzeszowskiego pierwszego sekretarza), czyli Pomnik Czynu Rewolucyjnego, nowoczesny w formie i słuszny w treści; jeden z wielu, które jak Polska długa i szeroka stawiano w PRL.

* Czy znasz pułkownika...? Och, jakże chciałabym...

Ale cóż – ciemny lud, miał się dowartościować, szydził bezlitośnie z monumentów swej chwały, nadając im miana, na ten przykład: Szubienica (Olsztyn), Maczuga (Siedlce), pomnik Jimiego Hendrixa (Dąbrowa Górnicza), Bolka i Lolka (Chełm), Nieznanych Sprawców (Warszawa), Hydraulików (Sosnowiec) i wiele innych*; regionalne określenia pomników żołnierzy radzieckich uprzejmię pomijam. Gdy Polska Rzeczpospolita Ludowa przeminęła, generała Świerczewskiego zdobiącego plac w Koszalinie przerobiono na Andersa, zaś rzeszowskiego Lisa zrekonstruowano i ponownie odsłonięto. Tym razem nikt nie zmącił wzniosłej atmosfery, żaden z towarzyszy bohatera już nie żył.

Kurtka nadawała się idealnie na parady harcerskie. Tradycja noszenia części niemieckich mundurów wywodziła się jeszcze z powstania. W pierwszych dniach sierpnia padł wojskowy magazyn na Woli; zdobyczne bluzy, czapki, buty, hełmy miały wielkie powodzenie, a hitlerowska panterka stała się symbolicznym powstańczym mundurem. W pięćdziesiątym szóstym, po reaktywowaniu Związku Harcerstwa Polskiego, okazało się, że jeszcze trochę tych pantelek w Warszawie pozostało. Naturalnym prawem sukcesji przejęła



Powstaniec wyrzucił, mama podniosła i schowała.

* B. Magierowa, A. Kroh, *Prywatny leksykon...*



Czarna Ósemka na biwaku.

je młodzież, wyróżniały się na pierwszym zlocie chorągwanym, budząc podziw i zazdrość. W pięćdziesiątym siódmym ktoś wymyślił, żeby grupa harcerzy przebranych za powstańców na pochodzie pierwszomajowym przed trybuną odegrała scenkę: strzelanina, padnij, tyraliera, rzuty granatem (oczywiście bez granatów), jezdnia pochlapana czerwoną plakatówką, zbieranie na nosze rannych i poległych. Po paru dniach w „Życiu Warszawy” ukazał się tekst pod tytułem *Zabawa w trupki*. W naszym hufcu zawrzało. Mówiono, że artykuł jest plugawy, ale nie będziemy reagować, bo „Życie” na pewno nie zamieści. Może sam pomysł inscenizacji nie był zbyt mądry i trochę za przeproszeniem kiczowaty, więc nic się nie stało, że go ośmieszono. Ale dla wszystkich przecież było jasne, że sedno sprawy tkwi gdzie indziej. Toczyła się ostra walka o ideowe oblicze harcerstwa. Czyli o nas. Chodziło o to, by jak najszybciej pozbyć się starych instruktorów, a nam, młodym, obrzydzić akowską tradycję. Każdy pretekst był dobry.

Kilka lat w tamtej atmosferze wyposażyło mnie na resztę życia. Co prawda kręcę dzisiaj głową ze zdumienia, wspominając, jak w końcu lat pięćdziesiątych my, nastolatki, śpiewaliśmy przy ognisku, że każdy chłopaczek chce być ranny i nie będziemy strzelać do księżycy, bo szkoda kul marnować. Ja te piosenki lubię do dzisiaj, dobrze mi z nimi było. To dzięki harcerstwu udało mi się przebrnąć paskudne przedmaturalne lata. Rzecz jasna, że skoro chodziłem do szkoły w Śródmieściu, do harcerstwa należałem na Mokotowie. Przy naszym liceum co prawda działała historyczna czarna ósemka, ojciec przed wojną do niej należał, zachowały się fotografie – ale tam, za chińskiego boga...

No i dożyłem mody na tak zwaną turystykę temporalną – festyny archeologiczne, turnieje rycerskie, inscenizacje walk powstańczych. Na jednej, że tak powiem, płaszczyźnie emocjonalnej. W rocznicę stanu wojennego chodzili po Warszawie roześmiani chłopcy, przebrani za zomowców. Że niby przybliży im to historię, teraz już wiedzą, jak to naprawdę było.

* * *

Zaledwie kilka razy w życiu czułem się dobrze w większej ludzkiej gromadzie. Pierwszy raz w październiku pięćdziesiątego szóstego roku, w hali na Koszykach, gdy stanąłem przed stoiskiem warzywniczym. Przekupki nie było, tylko w przyzbie marchwi tkwił kawałek tektury z napisem **PROSZĘ NIE RUSZAĆ, JESTEM NA WIECU**. Ludzie przechodzili, uśmiechali się. Bardzo żałowałem, że nie mam aparatu fotograficznego.

Nie sposób też zapomnieć atmosfery pierwszej papieskiej pielgrzymki w czerwcu siedemdziesiątego dziewiątego.

Ale nigdy nie byłem tak szczęśliwy w tłumie, jak pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych, w kolejne rocznice wybuchu powstania, na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Ludzie uśmiechali się, padali sobie w ramiona. Wymieniali informacje: kto gdzie pochowany, kto ile siedział, kiedy wyszedł, kto zaginął bez

wieści, zwał za granicę, kogo złamali, kto się ześwinił. Wielu przyszło odszukać swoje młodzieńcze sympatie. Modlili się nad grobami, trochę do Pana Boga, trochę do poległych. Kwiaty, znicze. Czuło się, że żywi i zmarli tworzą bratni krąg (harcerze wiedzą, co to znaczy). Rozmawiano na głos, bez obaw, używano pseudonimów. Starsze panie i starsi panowie o wyrazistych twarzach, kto wie, o czym mowa, ten wie, a kto nie wie, nic na to nie poradzę, w zawadiacko przekrzywionych beretach, przepasali swoje codzienne okryjbidy wojskowymi rzemieniami, a na rękawach mieli biało-czerwone opaski, niektóre oryginalne, inne świeżo uszyte, z kotwicą, literami W.P. i napisami: Kiliński, Baszta, Parasol, Wigry, Żywiciel. (Niedawno na placu Inwalidów zobaczyłem restaurację „Żywiciel”. Zrobiło mi się bardzo przykro). Przedwojenni instruktorzy harcerscy, ludzie z racji swych charakterów i życiorysów niebogaci, kombinowali mundury jak mogli, niektórzy włożyli zachodnie battledressy z półkolistą naszywką POLAND (takie naszywki można było kupić na Nowym Świecie, zastanawiałem się, czy naszyć sobie na bluzie, ale po namyśle zrezygnowałem), instruktorską sukienną lilijką, krzyżem z podkładką w tym samym kolorze, huculską krajką i sznurkiem, którego kolor niekoniecznie mówił o aktualnie pełnionej funkcji. Bo chociaż wszyscy czuli się w pełni harcerzami, to nie wszyscy byli do końca przekonani, że Związek Harcerstwa Polskiego naprawdę odżył, więc traktując rzecz formalnie, członkami ZHP nie byli i prawa do munduru nie mieli. Coś jak stary Maciaszczyk z Chlapkowie, który w rocznicę wyzwolenia zjawił się w Urzędzie Gminy z reklamacją, że wszyscy się cieszą, a on jakoś nie może, bo nie czuje się tak całkiem wyzwoleńcy. (Opowiadał o tym w radiu softys Kierdziołek, czyli Jerzy Ofierski, cała Polska powtarzała).

Ktoś starszy odzywa się półgłosem: zobacz, ta pani to Natalia. „O Natalio, o Natalio, bez pamięci cię uwielbia nasz batalion”. A tam, spójrz bardziej w lewo, druh Jerzy Dargiel. „Kiedy drogą szła piechota, to z uśmiechem swym Dorota...” A tu, bliżej, druh Markowski, autor melodii do *Marszu Mokotowa*. Siostra Tadeusza Zawadzkiego,

Zośki z *Kamieni na szaniec*, Koza. Ten w eleganckim mundurze to Jerzy Fiutowski, nasz komendant chorągwi. Stracił rękę w powstaniu. (Kiedyś na korytarzu Głównej Kwatery usłyszałem rozmowę dwóch instruktorek. – Nie przejmujcie się, towarzyszek. Nie będzie nam ten akowiec bez ręki mówił, co mamy robić). Tamten to Kazimierz Leski, Bradl, obok niego żona, widzisz? Współtwórca akowskiego wywiadu, jeździł do Francji w mundurze hitlerowskiego generała, Niemiaszki obwoziły go po nadmorskich fortach Normandii, udzielały wszelkich informacji. Co się nie udało Niemcom, udało się ubekom, siedział w potwornych warunkach, torturowali go, ale ubekom się też nie udało, bo gdy tylko go wypuścili, otworzył przewód doktorski. Widzisz tamtą kruchą staruszkę w płaszczu narzuconym na ramiona? To mama Janka Bytnara, Rudego. Nie, nie ta. Ta, to mama Antka Rozpylacza... Druh Aleksander Kamiński... A tam, a tam, o, o... Mogłem się przekonać na własne oczy, że ci ludzie z czwartego wymiaru są najzwyczajniejsi w świecie, mijam takich codziennie w sklepie czy w tramwaju. Patrzałem, chłonałem i tak już zostało. Moje prywatne Muzeum Powstania Warszawskiego. Niepotrzebne mi audio, wideo, sztuczny wąż do sztucznego kanału ani inne efekty specjalne, zaś na agresywne posypywanie tamtych spraw cukrem pudrem z okazji kolejnych rocznic albo i bez okazji czy wykorzystywanie ich w doraźnej grze politycznej usiłuję nie reagować, choć czasem trudno.

Oto pełnię wartę honorową w harcerskiej rogatywce, poniemieckiej kurtce, wojskowy pas, finka, biało-czerwona opaska. Za mną rzędy betonowych krzyży. Jedni mówią, że to polegli w pierwszej wojnie światowej, inni, że w roku dwudziestym. Trudno powiedzieć, na krzyżach nie ma tabliczek z nazwiskami i datami śmierci. Podobno pozrywali je zetempowcy, więc chyba chodzi o tych drugich, bo co by zetempowcom szkodziła pierwsza wojna? Po reaktywowaniu ZHP pozytywnie zweryfikowano wielu działaczy Organizacji Harcerskiej Polski Ludowej z lat stalinowskich. Nie jest więc wykluczone – myślę – że ci sami, którzy kilka lat temu zrywali tabliczki albo nawet wymyś-

lili całą akcję i nią kierowali, dzisiaj rozprawdzają warty. W głębi, za łańcem krzyży, kwatery powstańców styczniowych, nieco dalej w bok drewniana wiejska kapliczka sprowadzona przed wojną z Wileńszczyzny; najpierw byłem przekonany że podhalańska, ale pani z tamtych stron sprostowała pomyłkę. Naprzeciw masywny grobowiec Juliana Marchlewskiego. Latem 1920 roku kwaterował na probostwie w Wyszkanie, razem z Dzierżyńskim i paroma innymi czekał aż Armia Radziecka zdobędzie Warszawę, by proklamować Polską Republikę Rad i poprosić o przyłączenie do Sowietów. Ale głównie im z tego wyszło, musieli uciekać, porzucając nawet cukier; parę dni później słodził nim herbatę Stefan Żeromski, autor lektur szkolnych i zakazanego utworu, w którym to wyraziście opisał. Czytałem, znalazł się ktoś, kto mi podsunął. Prochy Marchlewskiego przeniesiono do Warszawy po wojnie. W mojej czytance szkolnej był o tym wiersz, nie pamiętam autora, mogę jedynie zacytować pierwsze linijki:

Nie na darmo,
nie na darmo była walka i praca...

Generał Lucjan Żeligowski, który wygrał bitwę pod Radzymi-
nem, niweczając plany Marchlewskiego, Dzierżyńskiego i towarzyszy,
leży parę kroków stąd, w Alei Zasłużonych.

Dalej sarkofag Bolesława Bieruta, za nim rząd kwater. Podczas
okupacji cały cmentarz był *Nur für Deutsche*; wyspa grobów niemiec-
kich znajdowała się na zachód od bramy głównej. Polacy mieli wstęp
na cmentarz tylko za przepustkami (wydawano je najbliższym krew-
nym pochowanym) i jedynie w określonych godzinach, boczną furtką,
gdy akurat nie było hitlerowskiego pogrzebu. Po wojnie groby niemiec-
kie zlikwidowano, a przez pięć lat okupacji sporo ich się uskładało;
szczątki wywieziono nie wiadomo dokąd, co podobno oburzyło dzia-
łacza młodzieżowego z NRD, członka oficjalnej delegacji partyjno-
-rządowej, kiedy korzystając z pobytu w Warszawie, chciał odwiedzić
grób tatusia.

Za moich czasów kwatery „Zośki”, „Parasola”, „Miotły” i sąsiednie miały proste żołnierskie brzozone krzyże, piękne i nietrwale. Czasem ktoś wieszał na nich chusty, przyczepiał tarcze szkolne i herby miast z harcerskich mundurków. Dolinka Katyńska, zwana też Dołkiem Katyńskim, to był zwykły trawnik, trochę nieckowaty, gęsto obstawiony zniczami. Morze zniczy, jeden ogromny składkowy płomień. Gromadzili się tam ludzie, zapalali kolejne znicze i milczeli, albo chórem odmawiali modlitwy. Skąd wiedziałem, że ten nieistniejący pomnik upamiętnia ofiary zbrodni katyńskiej, nie sklecę. Od kiedy tak nazywano to miejsce, nie wiem. Dla mnie od zawsze, bo w roku pięćdziesiątym siódmym na pewno. Dramatyczne dzieje stawiania i usuwania krzyża w tym miejscu znam słabo, nie mieszkałem już wtedy w Warszawie.

Inny pomnik, który w moich harcerskich czasach był, choć go nie było, wszyscy o nim wiedzieli, choć był ściśle tajny, składano tu kwiaty i modlono się, choć pełnił funkcję śmietnika – to kwatera Ł, zwana Łączką, w południowo-wschodnim rogu cmentarza. Jedno z wielu miejsc w Warszawie, gdzie zakopywano (bo przecież nie grzebano, nie chowano) zwłoki ludzi zamęczonych na Mokotowie, w Informacji Wojskowej, na 11 Listopada, w piwnicach kontrwywiadu na Krzywickiego, na Cyryla i Metodego. „Na miejscu tym, nie przypadkiem urządzono kompostownię, potem zwyczajny śmietnik, a wreszcie w 1964 roku (...) zagospodarowano przestrzennie, wytyczono nowe kwatery, alejki i w ten sposób więzienna Łączka znacznie już okrojona stała się częścią dzisiejszej kwatery Ł”*. Na planie cmentarza, wydanym w 1971 roku pod patronatem Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, Łączkę oznaczono jako kwaterę wolną. Wmurowanie aktu erekcyjnego pomnika nastąpiło jesienią 1990 roku, uczynił to premier Tadeusz Mazowiecki. Chwała ówczesnej władzy, że w takiej lawinie problemów, jaka się wtedy na nią zwała, za jedną z pilnych kwestii uznała odkłamanie najważniejszych faktów historycznych i pokłon tym, którym nie było dane doczekać.

* T. Swat, *Niewinnie straceni w Warszawie 1945–1956*, Warszawa 1991.

Co nie znaczy, że uczyniono wszystko, co było do zrobienia. Na Cmentarzu Wojskowym wciąż brak pomnika ofiar przewrotu majowego w 1926 roku. Jak wiadomo, wówczas jedni stanęli za Marszałkiem, inni za Prezydentem, a byli tacy, którzy uciekli przed wyborem w samobójstwo. Poległo wówczas 330–380 żołnierzy i cywilów, rannych 582, a może nawet około tysiąca, opracowania różnie podają. Pomnik powinien być jeden, dla uczczenia wszystkich ofiar, tragedii ich wyboru i wierności aż do końca. Nie wzniesiono go wkrótce po przewrocie. Pewnie czekano, aż nastroje opadną. Można to zrozumieć, choć z trudem.

Gwałtowna dyskusja wokół skutków przewrotu majowego rozgorzała po dziesięciu latach; detonatorem był wiersz Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego:

(...) Chce pan naprawić błędy systemu?
 (skumbrie w tomacie skumbrie w tomacie)
 Był tu już taki dziesięć lat temu.
 (skumbrie w tomacie pstrąg)

Także szlachetny. Strzelał. Nie wyszło.
 (skumbrie w tomacie skumbrie w tomacie)
 Krew się polała, a potem wyszło.
 (skumbrie w tomacie pstrąg)

(...) Skumbrie w tomacie, skumbrie w tomacie!
 (skumbrie w tomacie skumbrie w tomacie)
 Chcieliście Polski, no to ją macie!
 (skumbrie w tomacie pstrąg)

(K.I. Gałczyński, *Skumbrie w tomacie*)

Wkrótce wybuchła wojna, potem nastąpiła PRL. Ale przecie już od lat dwudziestu mamy Rzeczpospolitą Polską. Stanęły pomniki, zawisły tablice pamiątkowe i tabliczki z nowymi albo przywróconymi nazwami ulic, ukazały się książki upamiętniające Legiony, Orle-

ta Lwowskie, wojnę dwudziestego roku, wywózki, Katyń, rzezie na Wołyniu, powojenne konspiracje, zbrodnie stalinowskie. Wzniesiono pomniki mężom stanu z lat dwudziestych, niektórzy nawet mówią o pomnikomanii, choć to chyba naturalna reakcja na wolność po tak długim poście. Nie ma jedynie pomnika ofiar przewrotu majowego. O ile mi wiadomo, nikt się nie upomniał. Można domniemywać, dlaczego: oddając cześć tamtym ludziom, trzeba by uznać, że przynależność do jednych lub drugich nie czyni jeszcze z człowieka patrioty (albo sprzedawczyka). No, a inicjatorzy takiego monumentu niczego w sensie politycznym nie zyskają, natomiast mogą obezwadzać. Z różnych stron, najmniej spodziewanych.

Środowisko byłych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie przez wiele lat czyniło starania o wyznaczenie kwatery i postawienie kolumbarium dla swych poległych i zmarłych towarzyszy broni. W latach siedemdziesiątych uzyskano zgodę Zarządu Miasta Stołecznego Warszawy, ale sprzeciwił się, tak jest, Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego, powołując się na ni mniej, ni więcej tylko rozporządzenie Prezydenta RP z 1933 roku (w myśl owego rozporządzenia na polskim cmentarzu wojennym mogą leżeć wyłącznie żołnierze polegli na polskiej ziemi). Są pytania? Zresztą w 1964 roku cmentarzowi zmieniono nazwę i administratora (odtąd aż do lat dziewięćdziesiątych oficjalnie był nie wojskowy, lecz komunalny, oczywiście warszawiacy dalej mówili po swojemu), więc GZP teoretycznie nie powinien mieć tu nic do powiedzenia.

Dopiero w 1987 roku uzyskano miejsce i zgodę na urządzenie kwatery, a nawet współpracę; wojsko oddelegowało do pomocy jednostkę budowlaną. 19 marca 1992 roku uroczyście wmurowano pierwsze urny w kolumbarium*. I to mogłby być koniec owej haniebnej historii. Choć nie jest. Jako że państwo nie kwapiło się do partycypowa-

* Za: *Do wolnej Polski nam powrócić daj. 1939–1945 Powązki – dawny cmentarz wojskowy, Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie*, opr. Tadeusz Karolak, Władysław Metelski, Zygmunt Prugar-Ketling. Fundacja Żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, Tom I, Warszawa 1998; Tom II, Warszawa 2000; Tom III, Warszawa 2004.

nia w kosztach, trzeba było powołać fundację, by zaapelowała do żołnierzy PSZ i ich rodzin na całym świecie o nabywanie symbolicznych cegiełek i wykupywanie miejsc w kolumbarium. Kochani rodacy, jeśli chcecie pielęgnować tradycję i spoczywać w ojczystej ziemi, to pielęgnujcie, spoczywajcie, ale za swoje.

Cmentarz Wojskowy na Powązkach, „Dziady” dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Moja najważniejsza ściąga z historii najnowszej, tablice pogładowe, mój wzorzec metra. Gdy po powstaniu listopadowym lewobrzeżną Warszawę otaczano fortami, żeby nie mogła ponownie się zbuntować, na Powązkach stanął garnizonowy szpital, obok przyszpitalny cmentarz, jakże inaczej. Takie były początki jednej z najświętszych polskich nekropolii. Jeszcze w latach pięćdziesiątych pod zachodnim murem widziałem rosyjskie żołnierskie mogiły z dziewiętnastego wieku, zarośnięte krzakami, zapuszczone. Na zachód od cmentarza ciągnie się dzielnica Bemowo, resztki fortów i zalamująca się w kilku miejscach ulica Wrocławska, przy niej bloki pracowników Wojskowej Akademii Technicznej. W 2009 roku część Wrocławskiej chciano przemianować na ulicę Żołnierzy Wyklętych, czyli partyzantów, którzy po 1945 roku walczyli dalej. „Ale pytany przez «Gazetę Stołeczną» oficer rezerwy ma inne wytłumaczenie: «Dziś żołnierze wyklęci to ci, którzy kończyli radzieckie uczelnie»”*.

Imieniny Powązek
starych i nowych, wojskowych,
nie trudny obowiązek
świeczek stearynowych.
Leżą zimne kamienie,
stajemy co kawałek.
Świeczek pełne kieszenie,
dwa pudełka zapalek...

(W. Dąbrowski, *Portret trumienny*)

* „Polityka” nr 19 (2704), 9 maja 2009.

No i dożyłem.

Oto slogan reklamowy znanej księgarni w Warszawie: „Kup dowolną książkę o powstaniu, a dostaniesz bezpłatnie opaskę powstańca”^{*}.

Są pytania?

„Wokół pomnika Gloria Victis powstaje 1 sierpnia specjalny sektor dla VIP-ów oddzielony od reszty cmentarza ochronnymi barierkami. (...) Setki powstańców muszą stać z daleka. Najbardziej poszkodowani są żołnierze słynnego batalionu AK «Parasol», którego kwatery sąsiaduje z pomnikiem. – O godz. 17 nie możemy być przy grobach bliskich. Przychodzimy więc o 15, potem jesteśmy grzecznie wypraszani. Dawniej takie rzeczy się nie zdarzały – mówi Maria Stypułkowska-Chojcka, Kama z «Parasola». Z kolei żołnierze batalionów AK «Miotła» i «Wigry» nie mogą zbliżyć się do grobów kolegów, bo alejkę między kwaterami zastawiają platformy telewizyjne. (...) Nic jednak tak nie oburza powstańców jak rozgrywane się na cmentarzu awantury. Politycy ciągną za sobą swoich zwolenników i przeciwników. W ubiegłym roku uroczystość przy Gloria Victis zmieniła się w wiec»^{**}.

Zacytowałem fragment artykułu, żeby nie musieć opisywać tego łajdactwa własnymi słowami.

* * *

Poniemiecką kurtkę nosiłem przez całe liceum, studia i jeszcze trochę, aż przeprowadziłem się do Zakopanego, a tamtejsze środowisko w naturalny sposób wymusiło na mnie inny rodzaj ubraniowego szpanerstwa.

Szedłem Krupówkami, kiedy zaczepił mnie starszy pan w staromodnych pumpach i zagadał z polską po niemiecku, czy wiem, że to kurtka oficerska, chętnie by ją odkupił. Ni z tego, ni z owego dostałem małego rozumu i odpowiedziałem, że nie sprzedam, bo to pamiątka rodzinna, ojciec był partyzantem, zabił właściciela, a zresztą dobrze mi się w niej chodzi. Wkrótce potem przyjrzałem się kurtce

* „Polityka” nr 33 (2718), 15 sierpnia 2009.

** T. Urzykowski, *Powstańcy za barierką*. „Gazeta Wyborcza” nr 163 (6075), 13 lipca 2009.



Kurtka w okresie schyłkowym.

świeżym okiem i odkryłem rzecz banalną, że już od dawna nie nadaje się do noszenia. Zapewne kupiłaby ją filmowa rekwizytornia, parę groszy z pewnością by się przydało, ale nie miałem pojęcia, jak to załatwić. Młodzieńcza skłonność do żartowania też stawała się coraz bardziej anachroniczna.

* * *

W grudniu 1990 roku ciocia Terenia przyleciała z Londynu jako członek delegacji wiozącej insygnia władzy państwowej, by na Zamku Królewskim przekazać je uroczystie prezydentowi Lechowi Wałęsie. Już atmosfera w samolocie wprawiła ją w dobry humor, który przez całe życie pomagał jej przetrwać, ale też przysparzał kłopotów. Gdy inni członkowie delegacji zaczęli nakładać białoczerwone opaski, przypinać miniaturki orderów i dyskutować, w jakiej kolejności mają wkrazać do wyjścia dla VIP-ów, ciocia niczego sobie nie

przypięła, poszła do wyjścia dla zwykłych pasażerów, więc komitet powitalny na lotnisku wręczający czcigodnym weteranom bukiety i wsadzający ich do aut, o mało jej nie pominął i musiałaby smarować z Okęcia na własną rękę, a potem szukać hotelu. Nie wiem zresztą, może to było nie za pierwszym, lecz za drugim jej przylotem, w rocznicę powstania, gdy ją odznaczali. – Bardzo piękna uroczystość, jestem wzruszona, ale przykro mi, bo zupełnie nie widzę tu młodzieży, za to wielu urzędników, choć owszem, nie powiem, elegancy – wyznała do kamery telewizyjnej. O żalu z powodu braku młodzieży poszło, elegancję urzędników wycięto.

Byłem z nią wtedy jeden jedyny raz na cmentarzu wojskowym. Rozglądała się z niedowierzaniem, że jednak po tylu latach tu dotarła. – O rany, ale jaja! – zawołała, najwyraźniej chcąc ukryć wzruszenie. Przez jej dom w Londynie przewinęła się masa ludzi z kraju, ciocia pomagała im jak mogła, wspierała podziemną „Solidarność”, a przy okazji, by nie tracić kontaktu z Ojczyzną, przyswajała młodzieżowy slang, to był jej swego rodzaju snobizm, choć w odniesieniu do cioci nie jest to najodpowiedniejsze słowo. Włożyła powstańczy beret z orzełkiem i gwiazdkami, stanęła w szyku, uśmiechnęła się i pomaszzerowała obok sarkofagów Bieruta i Marchlewskiego pod pomnik Gloria Victis. Stałem z innymi na chodniku, w miejscu, gdzie przed laty pełniłem wartę. Uformował się spory pochód, szły delegacje. W jednej z nich Tadeusz Fiszbach. – Co tu robisz partyjniaku, wynocha stąd, tu nam takich nie potrzeba, tu jest Polska! – krzyknęła któraś z moich sąsiadek. Klaskały albo chrząkały, w zależności od tego, kto właśnie przechodził. Rodziła się nowa obrzędowość mojej nekropolii, jeszcze niedawno nie do pomyślenia.

„Na powązkowskim pomniku, przy którym odbywają się obchody rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, widnieje napis «Gloria victis», czyli chwała zwyciężonym. W tym roku można było odnieść wrażenie, iż zwyciężeni wcale nie są najważniejsi – włącznie z kombatanami, których tradycyjnie odsunięto od postumentu, gdy zjawiała się tam delegacja rządowa. Nie był to jedyny zasmucający

obrazek. Rozpoczynają się uroczystości na tzw. Łączce, w miejscu, gdzie potajemnie grzebano ofiary represji z lat 40. i 50. Przemawia minister Bartoszewski, którego osoba nie wszystkim zgromadzonym wokół się podoba, skoro słyhać półgłosem wypowiedane opinie: «Niemiecki zdrajca!». Kiedy minister oddaje hołd patriotom, rozlegają się okrzyki niezadowolenia, już teraz głośniejsze: «Kto ich pomordował? Ubecy Żydzi!». Uroczystość kończy się w ciszy, jakby w ogólnym zawstydzeniu. Przyglądam się jeszcze z daleka, jak dwie starsze agresywne kobiety dopadły solidarnościową posłankę Ewę Tomaszewską i chcą ją rozszarpać. Jakby za mało było polityki na cmentarzu, przy bramach usadowili się emisariusze jednego z kandydatów na senatora z Bloku 2001, namawiający przechodniów do składania podpisów.

Chwała to wielkie słowo. Wystarczyłyby przynajmniej szacunek dla zmarłych bohaterów”*.

Zjawisko narasta, informacje podobnej treści pojawiają się w prasie rokrocznie. W 2008 roku jedna z gazet poszła jeszcze dalej i zaproponowała, żeby szczątki Bieruta i Marchlewskiego przenieść z Alei Zasłużonych na mniej reprezentacyjne miejsca, choćby w obrębie tego samego cmentarza. Ha. Przed laty, gdy mumię Stalina wyniesiono z mauzoleum i pochowano pod murem kremłowskim, reakcją ludzi, tak zapamiętałem, było trochę złośliwej satysfakcji, trochę śmichów-chichów, ale przede wszystkim niesmak, kręcenie głowami: jakże tak można... Jakże to... Powtarzano, że ktoś widział napis na sarkofagu Bieruta: **BOLEK, SZYKUJ SIĘ DO PRZEPROWADZKI!** Nie wiem, czy taki napis rzeczywiście był, bardziej prawdopodobne, że to po prostu jeden z wielu sarkastycznych warszawskich dowcipów, ale na własne oczy widziałem w ubikacji Biblioteki Uniwersyteckiej: **PRZENIEŚLI KOSTKI KULTU JEDNOSTKI.** Ludzi sprawa nadspodziewanie obeszała, sporo się na ten temat mówiło, nie tyle ze względu na Stalina, ile... no... Zbigniew

* Z. Pietrasik, *Szacunek zwyciężonym*, „Polityka” nr 32 (2310), 11 sierpnia 2001.

Herbert w wierszu o potędze smaku jasno to wyłożył. Krążył kawał, że na życzenie towarzyszy radzieckich PZPR zmieniła statut; dotychczas najwyższą karą było wyrzucenie z partii, od dziś wyrzucenie z grobu.

Może by tak pójść dalej i zlustrować całą Aleję Zasłużonych, od generała Karola Świerczewskiego do dyrygenta Waleriana Bierdiajewa, od Andrzeja Struga do Władysława Gomułki? Ten godzien, tamten niegodzien. Co robić z odrzuconymi – porozstawiać po kątach, wytyczyć Aleję Byłych Zasłużonych, w ogóle zlikwidować? (Aleja Byłych Zasłużonych to nie mój głupi dowcip; widziałem taki napis na cmentarzu w Legnicy).

A gdy już uda się to przeprowadzić w Warszawie, pozostaną inne miasta. Przed kilkoma laty oglądałem cmentarz mauzoleum. Centralnie pomnik ze stosownym napisem, po lewej i prawej obeliski upamiętniające ofiary wojny, a pośród nich, tuż koło pomnika, w trawie, omszała płyta. Metalowe litery oderwano, lecz pozostał ślad, słabo czytelny: BOHATEROM W WALCE O SOCJALIZM. Ktoś pochlapał ten kamień czerwonym lakierem.

Oczywiście, że nie walczyli o socjalizm, najprawdopodobniej nie znali tego słowa w peerelowskim znaczeniu, w pierwszych latach po wojnie mówiło się demokracja. Dziś socjalizm kojarzy się powszechnie z komunizmem, nawet ze stalinizmem. Dawny, ongiś oczywisty, jednoznaczny sens został wymazany ze świadomości, jeśli nie liczyć paru hobbystów.

Ukazała się właśnie książka Adama Uziembły *Niepodległość socjalisty**, próba przywrócenia fundamentalnej wiedzy o tradycji polskiego ruchu socjalistycznego, który przed pierwszą wojną światową wniósł ideę niepodległościową. Ten ruch poszedł w niepamięć. Zarówno PRL-owska propaganda, jak późniejsze środowiska prawicowe nie były zainteresowane, by tę pamięć przywrócić. Nie ma się co łudzić, że jedna książka załatwi problem, ale niechże przynajmniej

* A. Uziembło, *Niepodległość socjalisty*, z komentarzami Anieli Uziembło, Ośrodek KARTA, Dom Spotkań z Historią, Warszawa 2008.

ktos się zdziwi, że socjaliści to nie komuniści, a już z pewnością nie utrwalacze. Warto by wznović monumentalne dzieło Lidii i Adama Ciołkoszów *Zarys dziejów socjalizmu polskiego*, wydawane w Londynie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, dziś praktycznie niedostępne. A to przecież wielki szmat dziejów kultury polskiej.

O ileż więcej tu wolności
niż dziad za Batorego miał –
wolno na wiwat palić z dział
i wolno kośćmi grywać w kości,
gdy je niesiemy z leśnej jamy
w godniejszy czy mniej godny grób,
gdy cię, historio, poprawiamy
metodą wielokrotnych prób.

(W. Dąbrowski, *Portret trumienny*)

Polskie nekropolie dwudziestego wieku mogą zainspirować producentów gier komputerowych. Gra edukacyjna: Mały lustrator. Z załączonej listy sławnych Polaków ułóż Aleję Zasłużonych AD 1938, 1948, 1956, 1968, 1989 i aktualną. Wersja dla zaawansowanych: zasłużeni z nadania piłsudczyków, endeków, chadeków, ludowców, socjalistów, komunistów. Postacie do przełknięcia i nie do przełknięcia dla przeciwników politycznych oznaczyć kółkiem lub krzyżykiem. Zatwierdzone przez Ministerstwo Edukacji Narodowej do użytku szkolnego jako materiał pomocniczy z historii najnowszej. Ja tu sobie ironizuję, a to przecież niebezpieczne; nie ma konceptu na tyle głupiego, by nie znalazł zwolenników, już Jan Kochanowski o tym pisał.

Podobnie jak ruiny zarastają trawą i chwastami, spomiędzy których strzelają brzoźki, podobnie jak w Beskidzie Niskim w doliny, z których wysiedlono Łemków, schodzi z wierchów las – najpierw jałowce, za nimi drzewa i cała reszta – tak wojenne pogorzeliska i powstańcze symbole zarastają kiczem. Kicz to rozpaczliwe prag-

nienie szczęścia, właściwe każdemu człowiekowi, wyprawa do Arkadii na skrót, na przelaj, bez względu na realia, teraz zaraz, wbrew wszystkiemu. Kicz obłaskawi nawet wojnę i powstanie, jeśli dać mu więcej czasu. A skoro dojrzeje i spełni swoją rolę, wnuki wyszydzą go i beztrząsco odrzucają, zastępując niepamięcią. Zwykła kolej rzeczy. Tak było po każdym kataklizmie.

Gdy się żyje kopę lat z okładem, można spojrzeć wstecz i wyraźnie dostrzec etapy owego procesu. Najpierw był humor, bardziej lub mniej wyszukany, ludzie musieli odreagować. – Chłaj liter! – pozdrawiali się pijacy pierwszych lat powojennych, a my, chłopaki, powtarzaliśmy wierszyk:

A w Berlinie, w magazynie,
siedzi Hitler na sprężynie.
A sprężyna się wygięła
i Hitlera w nos palnęła.

Tuż po wojnie chodzili jeszcze po Bielanach kolędnicy z gwiazdą i turoniem. Ówczesny król Herod miał to, co zawsze: czerwony płaszcz, koronę, berło, ale żeby rozweselić publiczność i zgarnąć trochę więcej grosza, malował sobie węglem charakterystyczny wąsik, a swą odwieczną kwestię skandował, w ząbek czesany, charakterystyczną intonacją, z ręką uniesioną w faszystowskim pozdrowieniu.

Oto jestem świata król.
Tysiąc rzek i tysiąc pól
Pod moim panowaniem.
A gdy idę, lud pada,
Sto pokłonów mi składa.
Od świtu aż do zmroku
Idę we krwi potoku.
Ja, pan świata całego,
Brzękiem miecza mojego

Podbiłem całe narody.
Na tronie siadam
I wam zapowiadam,
Byście tu przy mnie byli
I rozkazy moje pełnili.

Publiczność pękała ze śmiechu i biła brawo. Była zaskoczona, choć przecież знаła tekst. Cichła, kiedy Herod rozkazał wymordować wszystkie niemowlęta w państwie, zaś entuzjazm sięgał szczytu w scenie finałowej, gdy diabeł, kłując Heroda widłami w tyłek, wołał:

Ej, Hitlerze, za tve zbytki
idź do piekła, boś ty brzydki!

Milicja wkrótce zakazała kołędowania w ramach walki z bandytyzmem, bowiem niektórzy przebierańcy terroryzowali lokatorów, kradli z mieszkań co się dało i spokojnie wychodzili, głośno śpiewając kołedy i kręcąc gwiazdą, uradowani, że nikt nie rozpozna w nich rabusiów.

Po Bielanych chodziła też kapela podwórkowa. Biegałem za nią jak inne dzieci, chłonałem jej niedoścignioną maestrię, kształtowała moje poczucie piękna. Zapadł we mnie urywek powstańczej piosenki, ściskającej gardło wzruszeniem:

Pod czołg idzie z butelką dziewczyna,
Szkopy wałą w nią.
Jaka piękna jest moja dziewczyna,
więc uwielbiam ją.
A usteczka ma słodsze od wina,
kiedy spragnione drżą,
jaka miła jest moja dziewczyna,
więc uwielbiam ją.

Nigdy już jej później nie spotkałem. Może rozplynęła się, jak tyle innych, może gdzieś żyje. Jeśli ją kiedyś usłyszę, zrobi mi się smutno. Uliczna kapela zarabiająca na kieliszek chleba i kapela przebranych apaszy w telewizyjnym studiu zatrudniona na umowę o dzieło tak różnią się od siebie, jak przejęty dziesięcioletni Antos różni się od starego konia, który właśnie zbiera się w sobie, żeby to dzieło najwyższych artystycznych lotów, płynące z samej głębi serca, wyciskające najprawdziwsze łzy, nazwać szmirą.

Musiała minąć dwadzieścia lat i wyrosnąć nowe pokolenie, żeby kicz wojenny wszedł w kulturę masową jak nóż w masło. *Kapitan Kloss* (1965) i *Czterej pancerni z psem Szarikiem* (1966) zawojowali serca Polaków, zwłaszcza dzieci i młodzieży. Mijają ustroje i generacje, a uwielbienie trwa i zapewne długo jeszcze potrwa. Żeromski się zestarzał, Wańkowicz porasta mchem, przeceniona *Trędowata* żółknie na wystawie, a *Stawka większa niż życie* i *Czterej pancerni i pies* biją kolejne rekordy oglądalności.

Obu serialom zarzucano niezgodność z prawdą historyczną, a to przecież błąd logiczny, pomieszanie pojęć. To nie są filmy historyczne, lecz przygodowe w wojennej scenografii. Choćby jedna zasadnicza sprawa – na prawdziwej wojnie co dnia giną żołnierze, może to spotkać każdego w każdej chwili, lecz nie Klossa ani pancernych, skoro mają wystąpić w następnym odcinku. Są bezpieczni, choć tak nieprawdopodobnie się narażają. Ale wszystko będzie dobrze, bo takie są prawa gatunku. Wyobraźmy sobie, jaka wybuchłaby awantura, gdyby scenarzysta uśmiercił Gustlika albo gdyby przyczepił Szarikowi do obroży materiał wybuchowy i kazał podczołgać się pod niemiecki czołg, by wysadzić go w powietrze. Wykluczone. A przecież Armia Radziecka tresowała po to psy, nawet wydano o tym książeczkę dla dzieci z obrazkami. Wypożyczyłem w szkolnej bibliotece i przeczytałem. Żeby wam za to, szanowni wydawcy, smród nogi powykręcał. Niezniszczalność głównych bohaterów, oczywista dla każdego widza, była warunkiem powodzenia *Stawki większej niż życie* i *Czterech pancernych*.

Gdyby ktoś nakręcił, jak trzej muszkietierowie i d'Artagnan przybyli do Polski, by wspomóc solidarnościowców w potyczkach z zomowcami, i z okrzykiem *Vive la Solidarité!* zmuszają do rejterady batalion chłopców gołędzinowskich, zdobywając armatkę wodną i kolumnę radiowozów, byłby to film historyczny w takim samym stopniu co *Kloss* albo *Pancerni* i również mógłby się bardzo podobać.

Za moich studenckich lat leciał w kinach wojenny film amerykański, którego akcja działa się między innymi w Warszawie. Gestapowiec aresztuje łączniczkę, katuje, dziewczyna osuwa się na ziemię, Niemiec widzi, że ją z rozpędu zabił, jest przerażony. Bierze bohaterkę na ręce, próbuje ratować, dziewczynie opada głowa, oczy mętnieją, spod beretu wypływa kaskada lśniących złotych włosów, niewątpliwie przed chwilą umytych najlepszym szamponem z odżywką. Gasnąca konspiratorka uśmiecha się, szeptem, że nic nie powie, nie powie, nie powie, nie po... Sztywnieje, gestapowca dręczą wyrzuty sumienia, w tle solówka na skrzypcach. Okupacyjna Warszawa po hollywoodzku. Jeszcze piętnaście lat wcześniej byłoby wielkie zgorszenie, o ile rzecz w ogóle dopuszczono by do rozpowszechniania, co wydaje mi się nieprawdopodobne. W połowie lat sześćdziesiątych publiczność wyła ze śmiechu. Najbardziej, gdy zobaczyła na ekranie zbliżenie zdumionej, a po chwili przerażonej i zrozpaczonej twarzy zbrodniarza-wrażliwca w szwabskim mundurze. Ciekawe, czy pan reżyser o tym się dowiedział.

Dzisiaj ludzie przypuszczalnie ziewaliby z nudów, jeśli w ogóle wybraliby się na taki film.

Z biegiem lat rocznica wybuchu wojny coraz bardziej zlewała się z uroczystością rozpoczęcia roku szkolnego. Na ogół załatwiano sprawę raz dwa, identycznie jak przed rokiem, bo cóż nowego można tu wymyślić? W mieście, którego nazwiska nie powiem, nic to albowiem do rzeczy nie przyda, postanowiono rocznicę ożywić, uprzystępnąć młodzieży, tym bardziej że akurat wypadła okrągła, sześćdziesiąta. Ale tak krawiec kraje... Mieli być snajperzy na dachach, cóż, kiedy nie starczyło pieniędzy. Nalot i bombardowanie też

okazały się, dzięki Bogu, zbyt kosztowne i kłopotliwe. Uruchomienie syren alarmowych wymagało zezwolenia wojewody, za późno się zwrócono i również nic z tego nie wyszło. Za to było przemówienie ministra Becka z taśmy i muzyka z filmu *Podwójne życie Weroniki* oraz dymy i wybuchy, młodzież się cieszyła, starsi mniej, ktoś całkiem bez powodu dostał ataku serca, rozdzwoniły się telefony do Straży Miejskiej, że przecież należało takie coś wcześniej ogłosić, żeby się psychicznie przygotować (moje sprawozdanie jest może zbyt ogólnikowe, ale każdy zna tych kilka najważniejszych przekleństw i może sobie uzupełnić). Lepiej udała się łapanka, uzgodniona z łapanymi, przeszkolonymi uczniami. Na rynek zajechały ciężarówki, wysypali się z nich żołnierze, co prawda grupa uczennic zmodyfikowała scenariusz i samowolnie pogalopowała w stronę bud, aby się nie dać poszturchiwać „gestapowcom”, bo to wstyd. Ciężarówki zgodnie z planem rozwiozły aresztantów pod pomniki i groby celem złożenia wiązanek kwiatów. Ale młodzież, jak to młodzież: kilku licealistów zaczęło napotykanym mundurowym prowokacyjnym pytaniem: – *Szprechen zi dojez?* – Ci poskarżyli się pedagogom, więc następnego dnia w liceach napiętnowano sprawców tych pożałowania godnych incydentów. Nie zawiedli zaproszeni duchowni: katolicki, ewangelicki, żydowski i prawosławny, zaś prezydent miasta, tłumacząc się w radiu z tych atrakcji, bo impreza zrobiła się sławna, obśmiewano ją przez kilka dni, był uprzejmy podkreślić: „W uroczystości wzięli też udział byli więźniowie obozów koncentracyjnych. Mamy ich jeszcze kilku żywych”. Tak mu się powiedziało.

* * *

W 2008 roku Jelenia Góra obchodziła dziewięćsetlecie lokacji. Przygotowano wiele atrakcji, między innymi spalenie czarownicy na stosie. „Z prośbą o odstąpienie od tego punktu programu w liście otwartym do prezydenta miasta wystąpiła dr hab. Monika Płatek, prezeska Polskiego Stowarzyszenia Edukacji Prawnej. Jej zdaniem, czynienie z tragicznej śmierci ludzi atrakcji turystycznej jest w naj-

wyższym stopniu naganne i żalosne”*. Ojcowie Jeleniej Góry natchmiasz wycofali się z niefortunnego pomysłu, choć przecie jasne jak słońce, że to miało być na niby. W tej samej notatce czytamy: „Podczas coraz bardziej ostatnio modnych inscenizacji i rekonstrukcji historycznych mogliśmy już oglądać sceny rozstrzeliwania powstańców warszawskich”. Można też wypożyczyć panterkę i furazerkę z orzelkiem i za stosowną opłatą przejść kanałami.

* * *

Wojna zarasta kiczem nierównomiernie: najszybciej wrześnieowa agresja z zachodu, wolniej powstanie, bo oficjalnie mówiono o nim półgębkiem, że bohaterscy żołnierze i zbrodnicze dowództwo, najwolniej zaś siedemnasty wrześnie, ponieważ owa data żyła tylko w ludzkiej pamięci. Swoją drogą ciekawe, czy ktoś naprawdę wierzył, że wielomilionowy naród o czymś takim jak siedemnasty wrześnie po prostu zapomni, skoro gazety konsekwentnie milczą. Raczej nie, ze strony władzy to był chyba zwykły dupochron, a mówiąc ówczesnym językiem, chowanie głowy w piasek. W latach siedemdziesiątych tłumaczyłem powieść z gatunku płaszcza i szpady; rzecz działa się w siedemnastym wieku, bohaterami byli dwaj przyjaciele, którzy w połowie utworu się znienawidzili, jeden drugiemu usiłował wbić nóż w plecy. – Niech pan zmieni to sformułowanie, bo mogą być kłopoty. Nóż w plecy to przecież siedemnasty wrześnie, każdemu tak się kojarzy. – Zostawmy, proszę pani, może się uda. – Udało się, cenzura przeoczyła, czytelnicy pewnie też.

Katynia również nie było, a jeśli już koniecznie, to sprawcami tej zbrodni byli Niemcy. Tak nam tłumaczyła pani profesorka, przedstawiając argumenty nie do podważenia. Nie sama z siebie, tylko dlatego, że ktoś z klasy zapytał. Miałem londyńską broszurkę, postanowiłem puścić ją w obieg. Zacząłem od kolegi, do którego miałem zaufanie. Oczy mu błysnęły, chwycił. Na następnej lekcji do klasy wszedł woźny.

* M.H., *Niestosowny stos*, „Polityka” nr 36 (2670), 6 września 2008.

– Kroh do dyrektora!

Dyro miał bardzo srogą minę. Przed nim na biurku leżała moja broszura.

– Posłuchaj Antek uważnie, bo nie będę powtarzać. Po pierwsze, zabraniam ci jakiegokolwiek agitacji na terenie szkoły. Jeśli mi obiecasz, że to się nie powtórzy i nikomu się tym nie pochwalisz, sprawa zostanie między nami i nie będę cię musiał relegować. Bardzo bym nie chciał. I po drugie, zapamiętaj sobie na całe życie, dobrze zapamiętaj, nazwisko tego kolegi. Kiedyś ta informacja może ci się przydać.

Uśmiechnął się.

– Możesz mi to pożyczyć na kilka dni? Bądź spokojny, ja na ciebie do dyrektora z pewnością nie doniosę.

Tak właśnie było. Nikomu się nie pochwaliłem, tylko mamie, a ona, w największym zaufaniu, powiedziała kilku przyjaciółom. A teraz, w dwudziestym pierwszym wieku, będzie mi tu jeden z drugim wypisywał, że PRL była państwem totalitarnym.

No i tak. Minęło kilkadziesiąt lat, jadę tramwajem i podsłuchuję trajkocące nastolatki.

– Stara, ci mówię, wczoraj miałam w domu normalny katyń. Matka mi wywaliła wszystko z szafy i kazała pouklądać.

Normalniejemy, chwalić Boga – pomyślałem.

Z legendą partyzancką było jeszcze inaczej. W 1968 roku, gdy mozarowcy próbowali zjednać sobie społeczeństwo, pozując na spadkobierców i strażników partyzanckiego etosu, zaczęto nazywać ich ironicznie partyzantami. Pojawiła się cała seria dowcipów i skrzydlatych słów: „partyzant z wyciętego lasu”; „śnieg po pas, a my w zboże”; „był dwa razy ramny – jeden raz pod Kielcami, a drugi raz w dupę” (zresztą jest to powiedzonko z pierwszej wojny światowej, popularne wśród legionistów). „Pamiętnik partyzanta: Poniedziałek. Zajęliśmy leśniczówkę. Wtorek. Niemcy wyparli nas z leśniczówki. Środa. Odbiliśmy leśniczówkę. I tak aż do niedzieli, kiedy wrócił z miasta leśniczy i wygonił nas i Niemców z lasu”. „Co to by-

ła druga wojna światowa? Historyczne tło bitwy w Lasach Janowskich”. Sporo tego krążyło między ludem, zwłaszcza po marcu.

W końcu lat pięćdziesiątych społeczeństwo nas, harcerzy, lubiło. Czuliśmy to. Kontroler komunikacji miejskiej nie żądał okazania biletu; było rzeczą oczywistą, że harcerz nie jedzie na gapę. Mundur ułatwiał też podróżowanie autostopem.

Lecz wkrótce znaczenia pojęć „harcerz” i „partyzant” w mowie potocznej zbliżyły się do siebie – zaczęły oznaczać pajaca, człowieka niepoważnego, wiecznego chłopca. „Działania partyzanckie”, czyli chaotyczne, bezplanowe, na łapu capu. Mimo że w owych latach żyło немало ludzi, którzy dobrze wiedzieli z własnego doświadczenia, że akcja partyzancka, jeśli miała przynieść pożądany skutek, musiała być przemyślana w najdrobniejszych szczegółach i przeprowadzona z największą precyzją. Żyli jeszcze członkowie Szarych Szeregów, absolutnego fenomenu w całej okupowanej Europie.

* * *

W dzieciństwie chwaliłem się, że jestem wojenny, choć starsi tego nie uznawali. Dziś myślę, że miałem niebывale szczęście, bo nie jestem. Należę do pierwszego od co najmniej dwóch stuleci pokolenia Polaków, które nie zaznało wojny. Stanu wojennego 1981/1982 nie liczę, to była wojna tylko z nazwy, wojna bez wojny. Wyrósłem, przeżyłem młodość, teraz się starzeję, robię, co chcę, nikt mnie nie prześladowa za głośne mówienie po polsku, nie musiałem do nikogo strzelać, nikt nie strzelał do mnie. Nie uciekałem z płonącego domu, miałem i wciąż mam cudowne życie.

* * *

Stryj Tadeusz, ten, co tak mazura wodził, zachował się na paru fotografiach i w kilku spisanych wspomnieniach.

„(...) ona – płowa, z odrzuconą w tył głową, gibka, on – krępy, barczysty, zwarty, ze szczecina wąsów nad mocno wysuniętą dolną szczęką, najłatwiej byłoby powiedzieć – brzydki, ale by to nie okre-

śliło ani zrywu, ani pulsującego w nim życia. Jak tańczyli! Zapamiętane, «organicznie», inne pary odchodziły na bok, by zostawić ich na placu. Fascynowali – patrzyło się na tego ich niezrównanego kujawiaka nie mogąc oczu oderwać, jak od płomienia na kominku. (...).

Spotkałam go po dłuższym czasie znów na jakimś wieczorze czy balu. Powiedział mi: «Dobry hodowca powinien rozpoznać źrebca od pierwszego wejrzenia, jeszcze na okólniku. Widziałem panią przed dwoma laty u Skórewicza. Kiep byłem». Roześmiałam się – tak, to był prawdziwy komplement. (...) Opowiadał o koniach swoich, o polowaniu, o tym, że jak się nie uda za pierwszym spotkaniem zastrzelić lisa, to potem trzeba go bardzo długo objeżdżać coraz to cieśniejszym kręgiem, zanim się go upoluje. Wśród życzeń, jakie otrzymałam po ślubie, była kartka z Afryki – Maroka czy Algerii. «Polując na lwy, dowiedziałem się, że lisa już ‘objechali’, przesyłam więc najlepsze życzenia. T. L.».

Ten polski centaur był pułkownikiem artylerii konnej, legendarnej odwagi i fantazji, wielokrotnie ranny na wojnie, brak mu było palców u strzaskanej lewej ręki. Miał ukończoną Wiedeńską Akademię Handlową i inne studia ekonomiczne. Był podsekretarzem stanu przy Prezydium Rady Ministrów, podlegało mu Biuro Ekonomiczne (...).

Tadeusz Lechnicki miał niebywałą fantazję w staropolskim i współczesnym znaczeniu tego słowa i równie wielkie poczucie humoru. Promieniował jakby stężoną witalnością.

Kiedyś pojechaliśmy w kilka osób do Wilanowa i o małośmy się nie rozbili i nie pozabijali o jadącą w stronę Warszawy, lewą stroną szosy, naładowaną kopiasto zieleniną furę bez światła ze śpiącym jak kamień woźnicą. Lechnicki wysiadł z auta, nie dał zdenerwowanemu do białości szoferowi budzić pijanego woźnicy, tylko sam zawrócił furę i popędził konia, który spokojnie, po właściwej już teraz stronie szosy kontynuował swoją wędrówkę, tyle że w przeciwnym kierunku. Lechnickiego zabawiła myśl o zdumieniu zbudzonego w domu chłopca i uznał to za zasłużoną sankcję karną. To było w jego stylu. (...)

Na swoje imieniny, wyprzedzając o parę dni św. Huberta, urządził bieg myśliwski. I kiedy tak z niesłychanym rozmachem konno pędził, prowadząc ów bieg, pomyślałam o jakimś watażce na czele swej drużyny, nie podejrzewając, że ujęcie tegoż obrazu wkrótce powtórzy historia – w jakimś powiększeniu!

W 1939 roku przyjaciele nasi ani mój mąż nie wierzyli w wybuch wojny. (...) Któregoś z ostatnich dni sierpnia zostawiwszy córkę i jej przyjaciółkę pod opieką sąsiadów w Sulejówku przyjechałam dopilnować końca remontu naszego mieszkania na Szucha 16. (...) na rogu Alei Ujazdowskich natknęliśmy się na płk. Lechnickiego. Ucieszył się ogromnie tym spotkaniem i namówił na kolację u Simona i Steckiego. Na moje obiekcje powiedział, że to jego ostatni wieczór w cywilu. Lechnicki zdawał w ciągu tego dnia urządowanie i wszystkie swe godności w Prezydium Rady Ministrów i zgłosił się po prostu do swojej jednostki wojskowej.

(...) Dalszego ciągu dowiedziałam się bardzo późno. Po rozbiciu frontu do głębi podobno zrozpaczony płk Lechnicki na czele szczątków swego oddziału bronił się w Lubelszczyźnie, zbierając rozbitków, którzy się do niego z różnych formacji dołączali. Cofał się ku południowi w dobrze znany sobie lesisty teren. Doszedł do Janowa Lubelskiego ze sporym już oddziałem. Robił niebywałej brawury wypadu na Niemców. Jest to przypadek jakby drugiego, wcześniejszego Hubala. Używam tu tego porównania, gdyż przez film i prasę nazwisko to spopularyzowało w obecnym społeczeństwie postawę bohaterkiego oporu i nieuznawania rzeczywistości klęski. Na którymś z tych wypadów porwawszy za sobą swój oddział – Tadeusz Lechnicki desperacko zaatakował więzienie janowskie, ciężko ranny przeniesiony został do szpitala. I tu spotkałam dwie wersje. Wedle jednej – śmiertelnie ranny płk Lechnicki usłyszał na swym szpitalnym łóżku dalekie dźwięki wojskowej orkiestry. Myśląc w gorączce, że to polska odsiecz, zerwał się, jakimś niesłychanym wysiłkiem dotarł do okna i uczepił framugi: zobaczywszy wkraczający na rynek oddział niemiecki – osunął się martwy na podłogę. Druga wersja nic nie mó-



Polska Liga Wojenna Walki Czynnej skupiała dawnych konspiratorów, którzy w latach wielkiej wojny tworzyli wojsko polskie na wschodzie.

wi o śmierci przy oknie. W obu wersjach natomiast powtarza się fakt wystawienia przez niemieckiego dowódcę warty honorowej – według jednej przy łóżku szpitalnym. Obie wersje mówią o salwie honorowej niemieckiego oddziału na cmentarzu w uznaniu bohaterskiej postawy wojskowej w obliczu wroga. No cóż – był to początek wojny. Wehrmacht honorował jeszcze tytuły militarne”*.

Podczas jednej z ostatnich konnych przejażdżek nad Świdrem stryj powiedział do mamy, gdy stanęli na popas:

– Wiesz, Zosiu, żal mi ciebie. Myśmy walczyli, narażaliśmy się, widzieliśmy na własne oczy, jak ni z tego, ni z owego była Polska na pierwszego. Braлиśmy w tym udział, jest co wspominać. Pamiętam na Wołyniu, miałem dwadzieścia kilka lat, dowodziłem niewielkim oddziałem, stacjonowaliśmy we wsi. Byłem – czy ty to rozumiesz? – byłem Polską we własnej osobie, najwyższą władzą. Stanęła przede mną para miejscowych staruszków. – Panie poruczniku, najpokorniej prosimy o rozwód, my już ze sobą wytrzymać nie możemy. – A ile

* H. Ostrowska-Grabska, *Bric à brac 1848–1939*, PIW, Warszawa 1978.

lat jesteście razem? – Ze czterdzieści, kto by zliczył. – Dobrze, oznajmiam wam, że nie jesteście już mężem i żoną. Wystarczy? – Wystarczy, wystarczy, dziękujemy stokrotnie. Chcieli mnie całować po rękach, ale nie pozwoliłem. To był, Zosiu, pierwszy akt prawny Rzeczypospolitej w tamtej okolicy. Staruszkowie wrócili następnego dnia. – Panie poruczniku, my bez siebie żyć nie możemy, prosimy o ślub, bo jakże tak mieszkać ze sobą bez ślubu? Toż to wielki grzech. – Dobrze, od tej chwili przed majestatem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej jesteście mężem i żoną. To był drugi akt prawny. – Bóg zapłać, Bóg zapłać! Dwa dni później: panie poruczniku, my już ze sobą wytrzymać nie możemy, prosimy o rozwód. Kazałem ich zamknąć w chlewiku na trzy doby o chlebie i wodzie, żeby się pogodzili. To był trzeci akt prawny. Wieść się rozniosła i trudno opisać, jaki potem miałem mir w całej okolicy. – Będzie nam dobrze w Polsce, jak takie mądre i sprawiedliwe oficery komandirują.



Tadeusz Lechnicki

A co przed tobą? Spokojna, cicha egzystencja. Masz dobrego męża inżyniera, śliczną córeczkę, głodna nie chodzisz. I co dalej? Kolejne dzieci, wnuki, coraz lepsze mieszkania, auto, wojaże.

– Stryju, żeby stryj nie powiedział tego w złą godzinę.

– E tam, w złą godzinę. Pleciesz, dziecko. Ja tkwię w samym środku polityki. Chyba wiem, co się dzieje.

Kilka miesięcy później pułkownik Tadeusz Lechnicki poległ na wojnie, jak tylu innych.

Książę

BANDA CZERWONEGO BYKA I INNE ORGANIZACJE
♦ DZIADEK MRÓZ ♦ BABCIA PRZESTAŁA LUBIĆ CZEKOLADOWE
CUKIERKI ♦ SEZON ZAMORDOWANYCH CHOINEK
♦ METAMORFOZY DZIADKA MROZA ♦ I WANT YOU
FOR U.S. ARMY! ♦ CZY STARSI KOCHAJĄ WIELKIEGO STALINA?
♦ SIEPACZE SIEPIĄ CZY SIEPAJĄ? ♦ PIĘĆDZIESIĄT GROSZY
W ZYSKU

Informator o nielegalnych antypaństwowych organizacjach i bandach zbrojnych działających w Polsce Ludowej w latach 1944–1956, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Biuro „C” Tajne!, Warszawa 1964. Wpadł mi w ręce przedruk tego dzieła z początku lat dziewięćdziesiątych*. W dziale *Organizacje młodzieżowe (w tym klerykałne)* wymieniono, spośród wielu, takie oto sprzysiężenia: Bracia Atomy; Chór Walki z Komunizmem; Eskadra Wyzwolicielei Ziemi Kieleckiej z Komunizmu; Młoda Gwardia Przeciwko Komunizmowi; Szajka Krajowa; Banda Czerwonego Byka; Kochaj Ryzyko; Mściwy Sęp; Tajna Organizacja Patyków; Tajna Organizacja Wynałazców i Odkrywców. Podano liczbę członków (od kilku do kilkudziesięciu), ich wiek (12–16 lat), środowisko (najczęściej paczka szkolna, podwórkowa, przyjaciele z rozwiązanej w 1949 roku drużyny harcerskiej albo zuchowej, ministranci). Data powstania, data rozbitcia, nazwiska, pseudonimy, inne ważniejsze dane, zastosowane środki.

Otóż na tej liście nie znalazła się Polska Partia Podziemna, PPP, założona w Warszawie na Bielanach w grudniu 1952, działająca do lutego 1953 roku.

* Wydawnictwo RETRO, Lublin 1993.

Mężczyzna rośnie, krzepnie, poważnie, jest ogromnie spostrzegawczy, ma świetną pamięć, dużo czyta, rozgląda się bystro po okolicy, chłonie i analizuje fakty, stawia zasadnicze kwestie, staje się odpowiedzialny za siebie i innych – aż nadchodzi dzień, kiedy koniecznie, teraz, zaraz, natychmiast, musi dokonać czegoś wielkiego.

Nie inaczej było i ze mną.

Niemalą czynników złożyło się na utworzenie PPP: lektura zakazanej książki *Kamienie na szaniec*, piosenka „O mamó otrzyj oczy, z uśmiechem do mnie mów, ta krew, co z piersi broczy, to za nas, za nasz Lwów”, fotografia uśmiechniętego chłopaczka w harcerskim mundurku, dźwigającego torbę powstańczej poczty, przedwojenna powieść dla młodzieży *Zdzich szuka ojca* o małym warszawiaku, który ruszył w podróż pełną przygód przez Gdynię, Oslo (tam wyciągnął ze stawu tonącego chłopca, przypadkiem królewicza), Laponię, by w końcu wyrwać z łap bolszewickich ukochanego tatusia; lecz bezpośrednim impulsem było opowiadanie w „Płomyczku”, jak to pastuszek spod Połańca uratował życie Tadeuszowi Kościuszce, za co otrzymał pierścień z napisem Oycyzna – Obrońcy Swemu. Pierścień był za duży, zsuwał się z palca. – Nie myślałem, że i dzieci będą nim nagradzać – powiedział wzruszony Naczelnik.

Pastuszek z czytanki miał dziesięć lat, ja niecałe dziesięć i pół, niepodobna było zwlekać.

Zebrań organizacyjne Polskiej Partii Podziemnej odbyło się w piwnicy spalonego domu.

Te ruiny to było nasze królestwo. Wały się tam książki, połamane meble, kafelki o najwymyślniejszych kształtach i kolorach, wspinających do gry w klasy. Kiedyś Zbyszek wygrzebał w gruzach pudło wyściełane granatowym aksamitem, pełne dziwnych szybek. Oglądając pod światło, można było dojrzeć górskie krajobrazy, jakieś tajemnicze zamki, panów w śmiesznych mundurach z rogatymi czapkami, konie biorące przeszkody, a nawet rozebrane kobiety. Wejście maskował fortepian bez wieka i przednich nóg, przysypany śniegiem; można było sięgnąć na teczce i zjechać niby z górki po obnażonych strunach.

Zjazd był wprawdzie króciutki, ale za to wspaniałe hałaśliwy. Aby dostać się do piwnicy, należało przeczołgać się pod fortepianem, dorosły nie był w stanie tego dokonać ani nawet się domyślić, że tu da się wejść.

W krótkim, zwartym przemówieniu, starannie dobierając słowa, zarysowałem plan działania, a także cele organizacji oraz jej strukturę. Przyznałem sobie tytuł księcia, Waldek i Marcin zostali hetmanami, Zbyszek i Stasiak atamanami. (Uprzejmie dziękuję p. Henrykowi Sienkiewiczowi za inspirację, a babci za cwieczorne czytanie *Ogniem i mieczem*). Zbyszek trochę sarkał. Obiecałem szybki awans, jeśli zasłuży.

Postanowiliśmy rozrzucić ulotki, opanować Spółdzielnię Pracy „Metalowiec” na Słodowcu, aby miał nam kto naprawiać zdobyczne samochody i broń, zająć lotnisko na Chomiczówce, następnie Belweder, stamtąd wydamy odezwę do narodu, a później się zobaczy.

Stasiak dostał na gwiazdkę gumową drukarenkę, mianowałem go atamanem-redaktorem. W niedzielę był z rodzicami na Trasie W–Z, jeździli ruchomymi schodami (dar narodów ZSRR), tato spotkał kolegę i mruknął „Stalinie skurwysynie, zabierz schody, oddaj świnię”, kolega się ośmiał, mama fuknęła. To by się nadawało na ulotkę.

– Nie, „Precz ze Stalinem” lepsze, mniej literek.

– Ale tamto jest do wiersza, łatwiej zapamiętać.

– Nasza partia nie będzie używać brzydkich słów, niegodnych Polaka. Co innego do kogoś na ulicy, co innego napisane. Przecież jak rozrzućmy ulotki w szkole, to pierwszaki się dorwą.

– Papier jest, mamy zeszyty, każdy da po jednym.

– Nie ma na co czekać.

– No to zaraz po choince noworocznej. Porozwieszają dekoracje, będzie dość papieru na ulotki, tylko trzeba pościągać. Zeszytów lepiej nie, bo się wyda.

– Najlepiej, jak wszyscy będą się rozchodzić.

– Albo drugiego dnia rano.

Rzeczywiście, aula szkolna była suto udekorowana. Z sufitu i ścian zwisały girlandy z krepiny, ale także kwiatki, gwiazdki, gałązki, pięk-

nie wymalowane na brystolu. Porozumieliśmy się wzrokiem. Bardzo dobrze. Pośrodku stała choinka obwieszona gołąbkami pokoju, wataŭ udającą śnieg, kolorowymi bombkami, łańcuchami. Na czubku czerwona, pięcioramienna gwiazda z sierpem i młotem.

Pod choinką stał Dziadek (w oryginale częściej дядя, czyli Wujek) Mróz, obok pani nazywana Druhną. Dziadek Mróz miał czerwony kubrak i czerwoną czapkę, lamowane białym futerkiem, czerwone hajdawery i czarne buty z wywiniętymi cholewami. Wielka żółtawa broda zasłaniała mu prawie całą twarz, przez to mówił trochę niewyraźnie, więc natężał głos.

– Zdrawstwuĵcie rebiata. To jest po rosyjsku, znaczy witajcie dzieci. Jestem wasz ulubiony Dziadek Mróz. Słyszałem, że w Warszawie na Bielanych, w szkole numer dwadzieścia jeden, są bardzo pilni i grzeczni uczniowie, więc przyjechałem do was. Długo, długo jechałem, szmat drogi, bo ja, może wiecie, a może nie wiecie, mieszkam na Syberii, na radzieckiej dalekiej północy. A zgadnijcie, czym przyjechałem? Saniami! Trochę zmarzłem, chciałbym się ogrzać. Pozwolicie?

– Taaak!

– No, i rozumie się przywiozłem wam prezenty, przecież Dziadek Mróz musi mieć worek z prezentami. Telefonowałem do waszej pani, powiedziała, że wszystkie jesteście grzeczne. Prawdę powiedziała?

– Taaak!

– Więc różeg nie wziąłem. Wasza pani będzie po kolei wyczytywać, a ja każdemu coś dam. Zgoda?

– Zgooodaaa!

– Ale to dopiero później, na pożegnanie. Teraz się wspólnie pobawimy. Bardzo lubię bawić się z grzecznymi dziećmi.

– A ja – powiedziała Druhna – jestem Druhna Jola. Też chciałabym się z wami pobawić. Znam całą masę różnych gier, zabaw i piosenek. Ale musicie mnie słuchać. Będziecie?

– Taaak!

– To na początek nauczę was harcerskiego zawołania: W nauce, w pracy, w walce – czuwaj!

Druhna ubrana była w granatową spódnicę, zieloną koszulę z podwiniętymi rękawami i czerwony krawat. Na piersi miała piękny emblemat z biało-czerwonym sztandarem, czymś jeszcze i literami ZMP. Śmiała się, podskakiwała.

– Uważajcie, zaczynamy pyszną zabawę! Ćwiczenie szybkiego zapamiętywania. Dziadek Mróz ma wierszyki wypisane na kawałkach brystolu. Wyjmie na chwilę jeden po drugim, pokaże wszystkim, ale zaraz potem schowa. A ja mam, widzicie, ooo, torebkę cukierków czekoladowych. Kto zapamięta najwięcej wierszyków, wygrywa. Uwaga, zaczynamy!

Wróciłem szczęśliwy do domu. Pochwaliłem się babci, otworzyłem torebkę.

– Proszę.

– Powiedz wreszcie te wierszyki, nie mogę się doczekać.

Stałem w dumnej pozie.

NIE STRASZNE NAM RYKI GŁOSU AMERYKI!

**PRZEZ OŚWIATĘ I KULTURĘ BIKINIARZOM DAMY
W SKÓRĘ!**

**TRUMAN, BOMBA ATOMOWA, IMPERIALIZM NIECH SIĘ
SCHOWA!**

NIE POTRAFI OŁGAĆ CHŁOPA RADIO WOLNA EUROPA!

– I za to dostałeś cukierki? To ja dziękuję.

– Nie chce babcia cukierka?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo nie lubię.

– Nie lubi babcia czekoladowych cukierków?

– Nie.

– Ale w Boże Narodzenie babcia jadła.

– Być może. Ale teraz nie lubię.

– Naprawdę? Ja tam lubię.

– To jedz na zdrowie, kochany wnusiu.

Parę dni później, wieczorem, zdarzyło się nieszczęście. Babcia przeczytała nam baśń Hansa Christiana Andersena *Choinka*.